

Dagfinn
Grønøset

Anna
z pustkowie



Wydawnictwo
Poznańskie

DAGFINN GRØNOSET

ANNA Z PUSTKOWIA

przekład Jadwiga Purzycka-Kvadsheim

Wydawnictwo Poznańskie

1977

– Zostałam sprzedana do Haugsetvolden. Mój mąż otrzymał za mnie trzysta koron.

Anna z Haugsetvolden nie miała nigdy zamiaru opowiadać o tym. Nie sądziła, by mogło to kogokolwiek obchodzić, choć często dostrzegała, że ludzie przypuszczalnie coś wiedzą. Skoro jednak pozostała w Haugsetvolden sama i nikt z zainteresowanych już nie żył, mogła równie dobrze wyznać całą prawdę. Chciała teraz mówić otwarcie, opowiedzieć wszystko o sobie i o życiu w Haugsetvolden.

Pewnego kwietniowego dnia 1928 roku, brodząc w wodzie, zmęczona wieloletnią wędrówką wzdłuż norweskich dróg, przeważnie w okolicach

Gudbrandsdalen i Østerdalen, dotarła przez zamrożone jeszcze jezioro do zagrody Haugsetvolden. Odzież jej była w oplakany stan, a ostatnią dobę prawie nic nie jadła.

W Haugsetvolden było zaś pięć osób, które potrzebowały jej pomocy. Toteż kiedy Długi Karol, wówczas mąż Anny, zdecydował się ją sprzedać, stanęła umowa. Od tej pory należała Anna do Haugsetvolden, czyniąc wiele dobrego na tym pustkowiu. Miejscowość leżała rzeczywiście na odludziu, nie prowadziła doń żadna droga, a do najbliższych sąsiadów w Gløtberget było stąd szesnaście kilometrów. Latem docierała tam Anna łożdżą przez Istersjøen, zimą zaś na nartach. Idąc na zachód można było ścieżką przez góry i dolinę Sølen dojść do Rendalen, lecz była to wyprawa wymagająca przebycia około pięćdziesięciu kilometrów.

Tą właśnie górską ścieżką z Rendalen do Istersjøen przywędrowała około sto czterdzieści lat temu dziwna kompania: kobieta z sześciorgiem nie potwierdzonych jeszcze dzieci. Była to dzielna i odważna Gertruda Jonsdatter Sømåen, która straciła męża w wypadku w Rendalen; zabił się spadając z konia.

Nie widząc innego sposobu utrzymania siebie i dzieci udała się Gertruda na pustkowie koło Istersjøen, do opuszczonej osady rybackiej. Przez długie lata mieszkała tu z dziećmi w szałasie, dopóki niezwykłym wysiłkiem nie zdołała wznieść chaty i niewielkiej obory w Haugsetvolden.

Niejeden raz, gdy życie w Haugsetvolden bywało szczególnie ciężkie, myślała Anna o Gertrudzie. Myśli o niej jeszcze i teraz – gdy dym wznosi się z nadszarpiętej wichrem i niepogodą chaty, podtrzymuje Anna płomień domowego ogniska, który Gertruda tu roznieciła. Te dwie kobiety mają wiele cech wspólnych – obie nie ugięły się w nieludzkim zmaganiu z losem, obie pozostawiły po sobie trwałe ślady na tym pustkowiu. Przez wszystkie lata ciężkiej pracy, wracając od jeziora ze świeżo złowioną rybą do ludzi, którym poświęciła się bezgranicznie, myślała Anna często

o Gertrudzie. Wydawało się jej, że tak samo musiała czuć się tamta, gdy powracała do swoich dzieci z połowem. Zadowoleniem napawała Annę pewność, że Gertruda musiała również myśleć: oto istnieje ktoś, komu jestem potrzebna.

Te rozważania wzbogacały życie Anny na pustkowiu i nadawały mu głębszy sens. W prostych słowach, z zadumą w głosie, snuje swoją opowieść o latach spędzonych w Haugsetvolden. Mówi cicho, z powagą.

Trudy życia wycisnęły na niej swe piętno, lecz nie zdołały złamać. Wcześniej zdała sobie Anna sprawę, że czekają ją tutaj liczne i niełatwe obowiązki. Nigdy też nie próbowała się od nich uwolnić, wręcz przeciwnie, widziała tu dla siebie zadanie, które los jej wyznaczył. Sama mówi tylko:

– Moje życie należy do Haugsetvolden.

Dziś liczy sobie Anna osiemdziesiąt dwa lata i mieszka zupełnie sama na tym górskim pustkowiu. Byłoby dla niej największym nieszczęściem, gdyby nie mogła przebywać tutaj, na swoim. Stojąc w oknie lubi spoglądać na rozciągające się w dole jezioro i dalej, na wschód, ku góróm zamykającym krajobraz, który jest jej tak bliski. Rozległa przestrzeń, samotność, spokój – to właśnie Anna lubi. Czuje się związana z całym otoczeniem, jej usposobienie ma w sobie rytm i harmonię przyrody.

Bieda zmuszała Annę nieraz do ukazywania światu surowszego oblicza, niż sama chciała, a bieda towarzyszyła jej życiu, odkąd tylko sięga pamięcią. Kiedy jako mała dziewczynka w miejscowości Naeroset, w gminie Ringsaker, bawiąc się wybiegała w zapomnieniu na gościniec, który zwiastował wielką przygodę w jej małym świątku, dobiegały ją surowe słowa matki: „Nie lataj na gościniec i nie pokazuj łachmanów, Anno!”

A potem, w Haugsetvolden, również się nie przelewało. Także i tu głód i łachmany były nieodłączne, lecz Anna potrafiła przezwyciężyć najgorsze dzięki uporowi i sile woli.

Opowieść o życiu Anny nie rozpoczyna się jednak w Haugsetvolden, lecz dużo wcześniej, w prowincji Hedmark, gdzie niełaskawy los czekał ją już u progu życia.

– Miałam trzy lata, gdy po raz pierwszy oddano mnie do obcych. Odprowadzał mnie ojciec. Wędrowaliśmy drożyną wiodącą wzdłuż wysokich płotów, za którymi ciągnęły się zabudowania gospodarskie. W rękę ścisłałam zawiniątko, w którym niosłam moją sukienkę od chrztu, śnieżnobiałą z mnóstwem wstążek i koronek. Najpierw dreptałam podążając za ojcem po wyboistym bruku, potem ujął mnie za rękę, aż wreszcie byłam tak zmęczona, że musiał mnie nieść.

Wydaje mi się, że ojcu żal było pozostawić mnie samą wśród obcych ludzi. „Zajrzę tu do ciebie kiedyś”, powiedział na odchodnym. Jeszcze dziś słyszę te słowa. Stanowiły dla mnie jedyną pociechę, jedyną rzecz, o której przyjemnie było myśleć.

Ciągle wspominałam obietnicę ojca, gdyż zewsząd wiało beznadziejnością. Chora na gruźlicę gospodyni leżała w łóżku i wymiotowała, obok niej stało drewniane naczynie z gałązkami jałowca, do tego naczynia s pluwała. A kiedy miała krwotok, wyrzucano mnie z izby i wałęsałam się wtedy tak długo, dopóki głód nie przygnał mnie z powrotem, płakałam, aż dano mi coś do zjedzenia.

Śmiertelnie bałam się gospodarza, który od czasu do czasu bił mnie okropnie. Raz postanowił ukarać mnie za to, że lękałam się wody. Najgorszy był jednak dzień, kiedy odebrał mi moją piękną sukienkę od chrztu, z której tak byłam dumna, i wrzucił do pieca. Spalił to, co było mi najdroższe. Płakałam drąc się wniebogłoso, lecz ten wielki, okropny brodac z zimnym okrucieństwem zatrzaskał drzwiczki pieca, nie zważając na mój krzyk.

Pewnego razu, kiedy na obiad była „wodzianka”, zupa przyrządzona na wodzie z żytniej mąki i soli, zdarzyło mi się uronić parę kropel,

które skapnęły na podłogę. W gospodarza, który, jak myślę, był chyba złym człowiekiem, znów wstąpił gniew i zmusił mnie do zlizania zupy. Leżąc jak kotki na czterech łapach, zlizywałam to, co przytrafiło mi się niechcący, rozlać. Do dziś czuję, jak chropawe i szorstkie były deski podłogi, miałam wrażenie, że pociągam językiem po grubym szmerglu. Było to okropne, lecz nie odważyłabym się wypluć. Od dnia, w którym gospodarz spalił mi sukienkę, żyłam w przerażeniu.

Przebywałam tam do samej jesieni, aż wreszcie któregoś dnia przyszła po mnie babka. Przez zimę byłam w domu, a na następne lato znów oddano mnie do obcych, tym razem w inne miejsce. Strasznie się bałam, że będzie mi tak źle, jak ubiegłego lata, toteż kiedy babka, która odprowadzała mnie tym razem, miała odejść – ogarnął mnie lęk. Zrozpaczona biegłam za nią, chciałam z powrotem do domu, nie pojmując jeszcze, jak surowa i bezlitosna jest bieda.

Na gospodarstwie, do którego zostałam oddana, dożywała swoich dni starucha imieniem Agnethe. Leżała w łóżku, zażywała tabakę i wydawała mi się odrażająca. Myślałam też, że chciała mi zrobić krzywdę. Powiedziano mi, że mam sypiać razem z nią. Siedziałam obok starej w ciemności, czekając aż zaśnie, śmierdziało od niej tabaką i moczem. Jak tylko posłyszałam, że oddycha głęboko i pochrapuje, wysliznęłam się z łóżka. Przycupnęłam skulona w kącie izby i siedziałam tak w strachu, aż wreszcie zmorzył mnie sen.

Domownicy, którzy rano znaleźli mnie śpiącą w kącie, pojęli, jak przykre musiało być dla mnie sypianie w jednym łóżku ze staruchą i dostałam osobne posłanie. Wszyscy tu byli dla mnie dobrzy, tylko Agnethe napawała mnie przerażeniem. Miała niesamowite, świdrujące oczy i wydawało się, że w każdej chwili zacznie krzyczeć. Dziwiło mnie niepomiarowo również i to, że leżała w łóżku na zatabaczonej poduszce, z krzywą fajką w zębach.

Jesienią, kiedy babka przyszła po mnie, znów byłam nieszczęśliwa. Chciałam pozostać tutaj, schowałam się więc w ogrodzie za krzakami porzeczek, gdzie wreszcie odnaleźli mnie płaczącą. Babka znana była z surowości, lecz myślę, że nigdy nie okazała się bardziej bezwzględna niż tego dnia. Gwałtownie i mocno, aż zabolalo, schwyciła mnie za rękę i tak podążyłyśmy bez jednego słowa. Byłam bardzo nieszczęśliwą.

Nigdy nie wiedziałam, co to znaczy mieć dom. Nie zaznałam też ani poczucia bezpieczeństwa, ani prawdziwej radości – takich uczuć nie odważyłabym się zresztą okazywać. Lubiłam kwiaty i kiedy znajdowałam w pobliżu chaty szafirowe dzwoneczki, chciało mi się śpiewać. Nie śmiałam jednak tego zrobić; wszystko tłumiałam w sobie niepewna, zahukana. I choć czułam potrzebę porozmawiania z kimś o swoich doznaniach i przeżyciach, nie miałam odwagi ani mówić, ani pytać. Wszystko wydawało się daremne.

Nie bardzo byłam też świadoma tego, że nadszedł czas, kiedy powinnam pójść do szkoły. Obowiązkowe nauczanie nie trwało wtedy długo, ale mnie nie danym było odbyć nawet połowy. Matka odmówiła posyłania mnie do szkoły, potrzebowała mojej pomocy w domu. Latem podążyłam z nią na szałas, do Lorty, gdzie czekała mnie pierwsza zaprawa do ciężkiej pracy. Matka budziła mnie codziennie o piątej rano; zdarzało się, że zapadałam ponownie w sen zmęczona i nieprzytomna, nie pomagały jednak prośby o zmiłowanie. „Do roboty!” brzmiała pobudka. W moim przypadku oznaczało to dźwiganie wody, dojenie krów, sprzątanie obory. Często myślałam sobie wtedy, że matka wymagała zbyt wiele, później zrozumiałam że nie mogło być inaczej. Sama doglądała cudzego bydła, była sługą zależną od woli innych i to wpływało na jej sposób bycia. Miała w sobie niepewność i niepokój, które sprawiały, że jej bliskość nie stwarzała poczucia bezpieczeństwa. Wolałam raczej zaszyć się w jakimś kącie, niż szukać ciepła w ramionach matki. Potem dopiero

zdałam sobie sprawę z tego, że lęk przed ludźmi, u których służyła, był powodem jej wiecznego niepokoju.

Mimo ciężkich i złych dni mile wspominam życie na hali. Szałas stał samotnie na porośłym lasem stoku, daleko od ludzi i wiejskiego gwaru. Od chwili, kiedy oddano mnie jako trzyletnie dziecko do obcych, czułam jednak, że zawisło nade mną jakieś nieszczęście, że ludzie są okrutni i mogą wyrządzić mi krzywdę. Bardziej kurczowo niż inne dzieci ścisnęłam kromkę chleba w garści i kaftanik na piersiach.

Mając osiem lat, wywojowałam sobie wreszcie prawo chodzenia do szkoły. Przebywałyśmy na szałasach, gdzie byłam potrzebna matce, lecz chęć pójścia do szkoły była tak wielka, że nie zawahałam się przed użyciem „groźby”: „Jak nie pozwolisz mi chodzić do szkoły, to cię zamelduję i cała gmina się dowie, że trzymasz mnie w domu siłą!” Biedna matka sama nie umiała ani czytać, ani pisać, nie można jednak posądzać ją o głupotę czy lenistwo. Była tylko zahukaną i ciemną istotą. Od tej pory razem z siostrą Siną chodziłam do szkoły.

Szkoła miała dla mnie szczególne znaczenie, okazała się pierwszym w życiu stałym punktem oparcia. Od samego początku nauka przychodziła mi z łatwością, czułam, że tutaj jest moje miejsce. W dniu, kiedy dowiedziałam się, że mam być dyżurną w klasie, byłam naprawdę dumna. Wkrótce potem otrzymałam polecenie pomagania w nauce najmłodszym. Nieopisane uczucie – po raz pierwszy w życiu byłam komuś potrzebna i to dodało mi pewności siebie. Wśród najmłodszych dzieci był „oślak”, chłopiec, któremu z trudnością przychodziła nauka, a nauczyciel nie miał dla niego ani zbyt wiele czasu, ani cierpliwości. Zainteresowałam się malcem i dzień po dniu, godzinami przesiadywałam z nim nad lekcjami. Za każdym razem, kiedy szło nam dobrze, gdy chłopiec nauczył się nowej litery, albo rozpoznał słowo, cieszyliśmy się oboje, a zwłaszcza chyba ja. Było to dla mnie zupełnie nowe doznanie: pomagać innym. Wywarło to

na mnie tak wielkie wrażenie, że chciałam pomagać coraz więcej i dlatego też codziennie nie szłam, ale biegałam do szkoły. Dziwna rzecz, po tym wszystkim nawet z pomaganiem matce szło mi łatwiej. Chciałam teraz i potrafiłam zrobić dużo więcej. I nie byłam już tak bardzo zamknięta w sobie, zaczęłam nawet pośpiewywać trochę.

Lecz ostatni dzień w szkole był dla mnie czarnym dniem. Pamiętam, szesnastego maja była piękna, wiosenna pogoda, zazieleniło się już i przyjemny zapach dymu unosił się nad Ringsaker. Zdawałoby się, radosny, świąteczny dzień – a ja płakałam, nie mając się w co ubrać. Matka dała mi grubą kraciatą sukienkę z samodziału, w której do tej pory chodziła moja siostra. Odzienie było podarte i wystrzępione, z wielkimi dziurami na łokciach. „Masz tu sukienkę”, powiedziała matka twardo, i co najgorsze, kazała mi na dodatek włożyć starą, znoszoną halkę. Nie było jednak innej rady, szłam więc na egzamin powiewając strzępami. Po drodze spotkałam koleżanki w czystych, kolorowych sukienkach, odświętnie wystrojone i przez to jakby inne. Nigdy nie widziałam nic piękniejszego. Tak bardzo chciałam, żeby moja sukienka była przynajmniej pocerowana, to już nie byłoby tak źle, nie musiałabym świecić dziurami.

W dniu egzaminów wstąpiła do nas jedna z sąsiadek, gdy zobaczyła, jak byłam ubrana, zrozumiała od razu, że nie miałam dobrego dnia... Zaproponowała nagle: „Chodź do mnie, Anno, zarobisz sobie na przyzwoity przyodziewek, a do konfirmacji sprawię ci ładną sukienkę...” Nie namyślałam się ani chwili. Jeszcze tego samego dnia, w podartej sukience i z zawiniątkiem w ręku, przeprowadziłam się do sąsiadów. A jesienią, kiedy przystępowałam do konfirmacji w kaplicy Åsmarka, ubrana byłam równie pięknie jak inne dziewczęta.

Był to dla mnie wielki dzień.

Po confirmacji służyła Anna w wielu gospodarstwach w Ringsaker. Była to harówka, lecz przywykła do ciężkiej pracy dziewczyna nie użalała się nad sobą. Czuła się jednak samotna, nie miała żadnych przyjaciółek, a jedyną rozrywkę stanowiły urządzane od czasu do czasu potańcówki – latem w stodole na klepisku, zimą zaś w jakiejś izbie. Anna była lekka w tańcu i lubiła tańczyć, nigdy nie należała do tych, które „podpierają ściany”. Każdy chciał zatańczyć z Anną.

Latem 1918 roku zawitał do Ringsaker obcy – wysoki, barczysty mężczyzna, któremu było na imię Długi Karol. Przywędrował zza granicy – ze Szwecji, skąd pochodził – i wynajął się do pracy przy wyrębie drzewa w Åsmarka. Była to niespokojna dusza, obieżyświat i włóczęga, sezonowy robotnik bez stałego miejsca zamieszkania. Dla mieszkańców niewielkiej osady, w której mieszkała Anna, pojawienie się Długiego Karola było wydarzeniem nie lada, należał bowiem do wolnych, wędrownych ptaków, a dla Anny sam stanowił uosobienie przygody. Toteż gdy Długi Karol pojawił się w sobotni wieczór na tańcach, kiedy zawirował w dzikim i gorącym walcu, zapłonęła Anna po raz pierwszy miłością. Ten walc zapoczątkował w jej życiu okres, który można by nazwać wszystkim innym, lecz nie tańcem po różach. Samotna dziewczyna, stęskniona za ciepłem domowym, którego nigdy nie zaznała, łądziła się, że marzenie to ziści się we współzyciu z Długim Karolem. I w dwa lata po pamiętnym tańcu stanęła Anna na ślubnym kobiercu w białym kościółku w Mjøsstranda.

– W dzień Zielonych Świątek, piątego czerwca 1921 roku, pożegnałam Ringsaker na zawsze. Zrywałam z rodzinną wsią zaniepokojona i niepewna, lecz również przepełniona wielkim oczekiwaniem. Oboje nie posiadaliśmy prawie nic prócz wyprodukowanych przez Długiego Karola

kilku szczotek, które próbowaliśmy sprzedać w mijanych gospodarstwach. Wędrowaliśmy przez Gudbrandsdalen, nocując w stogach i pustych stodołach, pod gęstymi świerkami, albo po prostu pod gołym niebem. Nie mieliśmy ani pieniędzy, ani nic do jedzenia. Głodowałam często. Właśnie wtedy zaczęłam zastanawiać się, jakim to człowiekiem jest naprawdę Długi Karol. Coraz to bardziej przekonywałam się, że nie był taki, za jakiego go pierwotnie brałam. Czułam się zawiedziona i oszukana, lecz postanowiłam próbować, za żadną cenę nie chciałam uznać swojej porażki. Nie było też drogi odwrotu, nie mogłam powrócić do Åsmarka po tym, co zaszło; przekonałam się jednak, że życie, jakie teraz wiedliśmy, nie było tym, czego pragnęłam.

Na początku lata, podczas męczącej wędrówki przez góry Dovre porobiły mi się na nogach bolesne rany, a Długi Karol ani trochę nie zatroszczył się, żeby mi pomóc. Gdy byłam wyczerpana czy przygnębiona, nie usłyszałam od niego nigdy słowa pociechy, kazał mi tylko iść dalej.

We wrześniu tego samego roku dotarli do Øversjødalen w północnej części Østerdalen, niedaleko traktów wiodących przez Femundsmarka. Byli bez grosza, aby więc zarobić na kawałek chleba, zgodziła się Anna do służby u Jakuba Røstbakken Øyena. Lecz po kilku dniach Długi Karol zaczął nalegać, aby iść dalej, niespokojny ptak, zawsze potrzebował wiatru pod skrzydłami.

– Przywędrowaliśmy do Hodalen, do gospodarstwa Eliasza Tangena. Zrozumiano tu naszą nieszczęsną sytuację i gospodarz zaproponował mi, żebym u niego została. Długi Karol był oczywiście przeciwny, lecz ponieważ nie mieliśmy co jeść, musiałam wynająć się do służby, żeby

zarobić na wikt dla nas obojga.

Z Karolem było coraz gorzej, przeważnie pił razem z osiadłym w sąsiedztwie Szwedem, z czasem też stawał się coraz bardziej wymagający i bezwzględny. Jego niepokój i nerwowość wzrastały, trzeba więc było znów próbować iść dalej. Szliśmy tak od gospodarstwa do gospodarstwa, gdzie ja godziłam się na jakiś czas do służby, podczas gdy Długi Karol wędrował po okolicy sprzedając swoje szczotki. Nie było go tygodniami, wracał głodny, bez pieniędzy i odbierał mi wszystko, co zarobiłam. Nigdy nie miał dla mnie ani grosza, lecz tam, gdzie pracowałam, dawano mi przynajmniej jeść.

Pewnego dnia wczesną wiosną, głodni i bez pieniędzy, wlekliśmy się przez wieś Sollia, i tu dowiedziałam się, że Knut Eggen zakupił właśnie dwie morgi gruntu, który trzeba było przed uprawieniem oczyścić z kamieni i ułożyć parkan wzdłuż między – ciężkie to i beznadziejne zajęcie dla kobiety. Podjęłam się jednak tego, zaczęłam zbierać i składać kamienie, podczas gdy śnieg leżał jeszcze na polach, i pracowałam tak przez całe lato, nadwerężając krzyż i ręce. Dłonie miałam obrzękłe i stwardniałe, paliły jak rozżarzone węgle, a nocami czułam w nich bolesne rwanie. Nieraz myślałam sobie, że to beznadziejna, samobójcza robota, lecz pracowałam dalej z takim zacięciem, jakbym to ja sama kupiła ten kawałek ziemi. Postanowiłam bowiem podołać, musiałam podołać, choćby mnie to miało kosztować nie wiem ile. Czułam, że jeśli nie wykonam porządnie roboty, której się podjęłam, stracę zaufanie u ludzi i wiarę we własną zdolność do pracy, a to byłoby dla mnie równoznaczne z życiową klęską. Straciłabym tę odrobinę wiary w siebie, która mi jeszcze pozostała.

Krążyliśmy tak po okolicy przez dwa lata, zanim znów przyszło nam trafić do zagrody Øyena w Øversjødalen. Wielokrotnie próbowałam powstrzymać Długiego Karola, błagałam, by zrozumiał wreszcie, że nie można tak dalek żyć.

Jakub Øyen radził mi nie raz, że powinnam porzucić męża, pozwolić, niechby włóczył się sam. Jakub był świadom tego, jak mało wartościowym i nieodpowiedzialnym człowiekiem był Długi Karol, rozumiał także, że nie miałam sumienia pozostawić go własnemu losowi, chociaż w gruncie rzeczy pragnęłam tego. Ponośliam klęskę za klęską. Raz po raz usiłowałam przemówić Karolowi do rozumu, lecz przy tak rozprzężonym trybie życia, jaki wiódł, nie odnosiło to najmniejszego skutku.

Znowu ruszyliśmy w drogę. Była zima, a my wędrowaliśmy na północ, w kierunku Trondheim. Pewnego razu, w trzaskający mróz, przyszło nam nocować w zajęzdzie w Støren, gdzie był niesamowity brud i dziwaczne zbiorowisko włóczęgów, obieżyświatów i nędzarzy bez stałego punktu zaczepienia, żyjących z dnia na dzień, wyzbytych poczucia odpowiedzialności i wszelkich zasad. Dla Długiego Karola było to niebezpieczne towarzystwo. Pijaństwo i szarpiące nerwy awantury należały do porządku dziennego. Czułam, że wszystko stawało się coraz bardziej beznadziejne.

Nieraz wędrowałam sama, co z wielu względów było dla mnie korzystniejsze. Często bywało tak, że przychodziłam do ludzi i czekałam bez słowa. Myślałam sobie: „Musi się przecież znaleźć ktoś, kto zrozumie moją nędzę i ulituje się nade mną”. Zazwyczaj dostawałam jeść. Nigdy nie poniżyłam się do tego stopnia, by żebrać. I tak wstyd mi było za siebie.

Czasami trudniej bywało o nocleg niż o pożywienie. Pewnego razu wyczerpana przyszłam do zamożnego gospodarstwa w Gudbrandsdalen, nie wiedząc, co dalej począć. Opowiedziałam gospodyni o mojej niedoli, opowiedziałam nawet o Długim Karolu, wydawało się, że trochę to pomogło. „Prosisz o nocleg, czyż nie tak?” spytała w końcu z namysłem gospodyni, przypatrując mi się bacznie. Przyznałam, że tak. Nie odmówiła mi dachu nad głową, poleciła udać się do chaty przeznaczonej dla służby. Lecz służące nie chciały słyszeć o przyjęciu na noc takiej powsinogi jak ja.

„Chodź w takim razie ze mną” powiedziała gospodyni zniecierpliwiona trochę i zaprowadziła mnie do stajni, gdzie wskazała na stojącą przed koniami skrzynię z wilgotnym zimnym sianem. Zagrzebałam się w tym sianie, ale że miałam na sobie niewiele z odzieży, wydawało mi się, że zamarznię na śmierć. Też nocy postawiłam sobie pytanie: „Gdzie jest twoje człowieczeństwo, Anno? Czy upadłaś już tak nisko, że traktując się na równi ze zwierzętami?” Nie znalazłam odpowiedzi, wiedziałam tylko, że nie było wyboru. A następnego ranka smutna i przemarznięta ruszyłam w dalszą drogę.

Wkrótce miałam się jednak przekonać, że są jeszcze gorsze rzeczy na świecie niż nocleg w stajni. Tego samego roku w noc z Wielkiej Soboty na Wielką Niedzielę dotarłam do miejscowości Sel w Gudbrandsdalen, mając za sobą wielotygodniową wędrówkę i wiele nocy, podczas których szczękałam zębami z zimna, a chłód nie dawał mi zasnąć. Natknęłam się również na wielu nielitościwych i zimnych ludzi. Takim okazał się gospodarz zagrody w Sel, której próg przekroczyłam, nieszczęsna, prosząc o nocleg. „Nie”, brzmiała stanowcza odpowiedź. Zrezygnowana ruszyłam dalej, zdając się na los szczęścia.

Do późna w noc szłam wiejską drogą i drżałam z zimna. Jasne, lodowate gwiazdy świeciły nade mną, mróz trzaskał w drzewach i przydrożnych słupach. Zauważyłam drewnutnię stojącą przy drodze, nie była zamknięta. Nie miałam odwagi zapytać gospodarzy, bałam się, że znów usłyszę odmowną odpowiedź. Na wpół przytomna wśliznęłam się do drewnutni i położyłam się na porzuconej tu wiązce siana. Nie miałam się czym okryć, a przyodziana byłam lekko i nędznie, przez cały dzień nie włożyłam też nic do ust, nie posiadając nawet okruszyny. Na szczęście w takie noce zamierają myśli, w przeciwnym razie ogarnęłoby mnie zwątpienie. Zimno poderwało mnie wczesnym rankiem, byłam jakaś odmieniona, czułam, że twarz zsiniała mi i zastygła na kształt maski. Lecz

coś nalegało we mnie: „Musisz iść dalej, Anno, idź, idź...”

Uszedłszy kilkaset metrów stanęłam przed bramą do zagrody, zaryzykowałam i weszłam. Był świąteczny poranek i jedynie gospodyni krzątała się już po izbie. W jej oczach wyczytałam zarazem litość i strach, gdy opowiedziałam o nocy spędzonej w drewnutni na wiązce siana. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ktoś wreszcie okazał mi współczucie, widać było, że gospodyni uznała moje położenie za okropne. Na stole pojawiła się dymiąca strawa i pozwolono mi zjeść, ile tylko mogłam. Przyjemne ciepło rozeszło się po całym ciele, byłam syta i ożywiona, gdy dziękując opuszczałam chatę.

Lecz wiązka siana pozostała w mej pamięci i prześladowała mnie zawsze, gdy zbliżał się wieczór i noc. Może się to komuś wydać dziwne, ale straszy mnie jeszcze i teraz. Za każdym razem, gdy słyszę o kimś, komu dzieje się krzywda lub kto cierpi nędzę – staje mi przed oczyma ta wiązka siana w drewnutni.

Gdy nadeszło lato, zatęskniłam do Ringsaker. Od dawna nie byłam w tamtych stronach i obawiałam się trochę, jak przyjmie mnie rodzinna wieś po tym, kiedy zdecydowałam się na wędrownie życie z Długim Karolem. Chciałam jednak powrócić, sprawdzić, czy odnajdę jakieś ślady dzieciństwa.

Lecz nie dotarłam do Ringsaker. Przeszkodziły temu zdarzenia, których nigdy nie zapomnę: w pewien letni wieczór droga przywiodła mnie do Ringebu. Byłam w radosnym nastroju, jak rzadko, cieszyły mnie takie drobiazgi, jak widok kwiatów przy drodze czy łopot ptasich skrzydeł na żerdziach. W powietrzu unosił się miły zapach lata, coś jakby miód, myślałam. Czułam się wolna i prawie szczęśliwa – jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy odważyłam się śpiewać.

Nagle posłyszałam, że ktoś mnie woła. Na kamiennym murku przed nędzną chatą stała drobna kobiecina. Od razu zauważyłam, że była

wzburzona i czymś przejęta, prosiła mnie i błagała, żeby wstąpić do jej chaty. Tu usłyszałam całą historię, jej mąż uciekł od niej z inną, nie miała pojęcia dokąd. Została sama z siedmiorgiem dzieci, najmłodsze miało tylko trzy miesiące, najstarsze jeszcze nie konfirmowane. Kobieta była w rozpacz. „Anno – pomyślałam sobie – oto zadanie dla ciebie”. Toteż kiedy kobieta spytała, czy nie chciałabym zatrzymać się u niej i zająć się dziećmi, w czasie kiedy ona szła żebrać, nie wahałam się ani chwili. Pod pewnym względem byliśmy w podobnej sytuacji, obu nam było bardzo ciężko, a mnie sprawiało przyjemność, że mogłam komuś pomóc.

Minęło siedem tygodni. Jak się dało, wiązałyśmy koniec z końcem, nie tracąc otuchy. Bywały dni, kiedy kobieta wracała, przynosząc niewiele albo nic, a były też takie, kiedy starczało dla nas wszystkich. Zauważyłam, że dzieci polubiły mnie, czuły, że jest ktoś, kto się nimi opiekuje, pozyskałam też sobie ich zaufanie. Życie w małej chatce upływało między śmiechem a płaczem, a ja zdawałam sobie sprawę, że każdy dzień stawia przede mną nowe zadania.

Stało się jednak coś, czego nigdy nie przewidywałam. Pewnego dnia kobieta nie wróciła do domu. Uciekła z jakimś mężczyzną do Szwecji i od tej pory słuch o niej zaginął. Pozostałam w chacie sama z siedmiorgiem dzieci, bez jedzenia. Nie było też nikogo, kto mógłby nam pomóc. Spadła na mnie wielka odpowiedzialność, większa niż moje siły i możliwości, by sprostać zadaniom. Mogłam prosić o wsparcie gminę, lecz nie miałam na to odwagi. Obawiałam się, że przydzielą nam niewiele i nie wyżyję z tego razem z dziećmi. Nie chciałam jednak poddać się zupełnie, postanowiłam więc umieścić je u ludzi, którzy – jak mi się wydawało – będą dla nich dobrzy.

Dowiedziałam się, że mieszkająca na przeciwnym krańcu wsi kobieta chciała wziąć najmłodsze. Był to chłopiec. Do tego dziecka przywiązana byłam najbardziej, zajmowałam się nim od kiedy miało trzy miesiące.

Idąc, by go oddać, usiadłam zgnębiona w przydrożnym rowie i długo patrzyłam na chłopca. Uważałam za niesprawiedliwe i bolesne, że muszę się z nim rozstać, stłumiwszy jednak uczucia, poszłam.

Gdy przyszłam do zagrody, gospodyni była w oborze, lecz przybiegła szybko do kuchni, żeby przejąć dziecko. Nie spodobała mi się jednak ta kobieta, nie wyglądała na dobrego człowieka, zbyt zachłannie i gwałtownie chwyciła chłopca, porywając go jakby ode mnie. Dzieciak zaczął płakać i krzyczeć wniebogłosy, nie dając się utulić.

Było to więcej niż mogłam znieść. Utwierdzona w niedobrych przecuciach odebrałam dziecko, wracając znów do naszej nędzy. Tego wieczora, gdy mały zasnął w moich ramionach, nie miałam wątpliwości, że postąpiłam słusznie.

W kilka dni potem zdołałam go umieścić, i myślę, że trafił do dobrych ludzi. Kobieta okazała zrozumienie także i dla moich uczuć. Cicho i spokojnie przeszła z chłopcem do innego pokoju. Wtedy uciekłam, lecz ostatnim odgłosem, jaki dotarł do moich uszu, kiedy spieszyłam przez podwórze, był płacz malca.

Jedynie myśl o tym, że jestem potrzebna pozostałym dzieciom podtrzymywała mnie teraz na duchu. Uważałam, że najlepsze, co mogę dla nich zrobić, to wyszukać dobrych ludzi, którzy się nimi zaopiekują. Znalazłam takich. Rozstawałam się z dziećmi po kolei, na jednym z gospodarstw przyjęto dwoje, Elżę i Mortena. I za każdym razem powtarzała się ta sama scena – dzieci kurczowo trzymały się mojej spódnicy i nie chciały się ze mną rozstać.

Tego dnia, kiedy pozbyłam się ostatniego dziecka, czułam się dziwnie nieswojo, gdy gnana niepokojeni spieszyłam do chaty. Wszystko wydawało mi się jakieś opaczne, nieznośne, puste. Dręczona niepewnością potrzebowałam kogoś, komu mogłabym się zwierzyć, lecz gdy nagle z oddali przez mgłę posłyszałam, że jakaś kobieta woła moje imię, ogarnął

mnie strach i pędem uciekłam do pustej chaty.

Usiadłam w izbie, nie wiedząc, co dalej począć. Powinnam rozejrzeć się za jakimś zajęciem, zarówno dlatego, żeby zapomnieć o dzieciach, do których nadal byłam przywiązana, jak również, żeby zarobić trochę pieniędzy. Od gminy nie dostałam ani grosza za te miesiące, w których zastępowałam sierotom matkę. Czułam, że źle ze mną będzie, jeśli nie oderwę się od tego, co zaszło. Miałam nadzieję znaleźć jakieś zajęcie, przywykła bowiem byłam do ciężkiej pracy. Postanowiłam więc nazajutrz zamknąć drzwi pustej chaty i iść sobie...

Nie stało się jednak tak, jak Anna myślała. W momencie kiedy pakowała swój skromny dobytek do wężelka przed udaniem się w drogę, zjawił się nagle Długi Karol. Zaskoczyło to Annę – wydawało jej się, że wyczerpujące miesiące spędzone razem z sierotami w nędznej chacie w Ringebu oddaliły ją od Karola. Od razu spostrzegła, że jej mąż nadal wiódł wyniszczający tryb życia – twarz miał bardziej wychudłą i bledszą niż przedtem, odzież brudną i w strzępach. Nie uszło też uwadze Anny, że źle było z jego nerwami. Gnał go nadal dobrze Annie znany niepokój, nie miała złudzeń co do tego, że przyszedł tutaj, by nakłonić ją znowu do wspólnej wędrówki.

– Nie miałam siły, by mu się oprzeć, mimo iż czułam, że znów zaczniesz się to samo beznadziejne, tułaczkie życie. I chociaż dobrze wiedziałam, że nie nadaję się do takiego życia, że powinnam zerwać z Długim Karolem, bo każda chwila z nim była dla mnie męką – nie potrafiłam zdobyć się na odwagę.

Ruszyliśmy więc i minawszy miejscowości Folldal, Alvdal, Tynset

i Tolga dotarliśmy wreszcie do Kåsa, ubogiego przysiółka położonego między Øversjødalen i Hodalen. Przestałam tu do służby i przez jakiś czas wykonywałam pracę parobka, aż pewnego dnia od człowieka mijającego Kåsa dowiedziałam się, że Jakub Øyen miał ochotę przyjąć mnie na służbę, lecz obawiał się, że wędrowne życie zniszczyło mnie zupełnie i nie zagrzeję dłużej miejsca. „O, Anny z pewnością nie da się zatrzymać”, powiedział.

Przyjęłam te słowa jako wyzwanie. Z miejsca podziękowałam za zajęcie w Kåsa i udałam się do zagrody Øyena. Obiecałam, że pobędę dłużej i pracowałam u niego dwa lata.

Długi Karol, jak to było w jego zwyczaju, kręcił się przez ten czas po okolicy, często pojawiał się u mnie żądając pieniędzy i kracząc, że czas nam w dalszą drogę. Nie starczyło mi w końcu sił i uległam jego namowom. Nadszedł smutny dzień rozstania. Wszyscy mieszkańcy zagrody Øyen byli dla mnie dobrzy i traktowali mnie po przyjacielsku, na równi z innymi. Wkrótce miałam doświadczyć czegoś wręcz przeciwnego.

Niedługo potem, było to siedemnastego maja, szliśmy z Elga na północnym brzegu Femundssjøen i zamierzaliśmy przepłynąć się przez jezioro do Starego Szałas na zachodnim brzegu. Ludzie odradzali nam to przedsięwzięcie. Łód był za słaby, przeprawa przez jezioro byłaby jawnym wyzywaniem losu. Długi Karol nic sobie nie robił z tych przestróg, sam posiadał sanki odskokowe, które mogły mu ułatwić przeprawę, mnie zaś wręczył siekiere, którą miałam opukiwać lód i radzić sobie jakoś. Ani się obejrzałam, gdy śmignął obok mnie, oddalając się w stronę Starego Szałas. W miarę jak zbliżałam się ku zachodniemu brzegowi, lód stawał się coraz to cieńszy. Pojęłam teraz, że mój mąż posłał mnie na śmiertelnie niebezpieczną przeprawę. Posuwałam się ostrożnie naprzód, badając siekiere lód, który dalej był tak słaby, że pękał pod uderzeniem trzonka. Ujrzałam widmo śmierci i czekałam tylko, kiedy tafla lodu załamie

się pode mną. Byłam pewna, że przyjdzie mi pozostać tutaj na wieki, błagałam Boga o ratunek i o zbawienie zarazem. Kilka metrów od brzegu czekał mój mąż, który chłodno i obojętnie obserwował, jak sobie radzę; nie dawał najmniejszego znaku, że gotów jest przyjść mi z pomocą.

Niedaleko od brzegu wystawał z lodu wielki głaz. W nim widziałam zbawienie. Spróbowałam ostrożnie prześliznąć się w tę stronę, lecz lód już się uginał. Załamano się w tym momencie, gdy resztkami sił dałam susa w kierunku głazu. Był to skok między życiem a śmiercią, stało się jednak to niewiarygodne: ręką zdołałam dosięgnąć kamienia i dzięki temu byłam w stanie wydźwignąć się z lodowatej wody. Nie śmiałam pozwolić sobie na mały odpoczynek w obawie, że skostnieję na śmierć. Zdobyłam się na jeszcze jeden skok ku brzegowi i poczułam grunt pod stopami. Byłam ocalona, za co nie omieszkalam podziękować Bogu.

Dopiero wtedy, gdy stałam już bezpiecznie na brzegu jeziora, Długi Karol odważył się również na pokonanie ostatniego odcinka i z dużą szybkością dobił na swoich sankach do brzegu bez najmniejszego wysiłku.

Od Starego Szalasu do północnego krańca jeziora nie łatwo było się przedostać. Przejście utrudniały wielkie, oblodzone głazy, leżące gęsto jeden przy drugim. Upadałam i wstawałam, znów upadałam i podnosiłam się na nowo, czując w ustach słony smak krwi.

Często mnie pytano, a i sama nieraz zastanawiałam się, dlaczego nie zdobyłam się na dość odwagi, by porzucić Długiego Karola. Nie miałam innej odpowiedzi, jak tylko tę, że od wczesnego dzieciństwa wdrażana byłam do ślepego posłuszeństwa. Brak mi było pewności siebie, nigdy nie odważyłabym się protestować. Zawsze robiłam to, co mi kazano i to, czego – jak mi się wydawało – oczekiwano po mnie. Nigdy nie byłam panią własnej woli, natomiast przywykłam słuchać rozkazów innych. W głębi duszy drzemała jednak tęsknota za innym życiem niż to, jakie wiodłam u boku Długiego Karola. Raz po raz prosiłam go, by poszedł

sobie własną, drogą i zostawił mnie w spokoju; nie widziałam żadnego sensu w bezustannym wydeptywaniu wiejskich dróg, głodowaniu pod gołym niebem albo marznięciu w chatach, gdzie hula wiatr.

Wtedy jednak Długi Karol podejrzewał mnie nieodmiennie, że znalazłam sobie innego, kogoś, o kim on nie wiedział i groził, że zbada całą sprawę, odnajdzie rywala, rozprawi się z nim odpowiednio i położy kres romansowi. Wiedziałam, że nie były to żarty – z zazdrości potrafił posunąć się do najgorszych rzeczy i wcale tego nie ukrywał. Jego pogrożki wisiały nade mną stale, przejmując mnie lękiem. Nie śmiałam odezwać się do żadnego mężczyzny w obawie, że Długi Karol mógłby posłyszeć. Nie miałam złudzeń, co nastąpiłoby potem.

Pierwszego maja 1926 roku ruszyli na ryzykowną przeprawę przez góry Østerdalen i znów powtórzyła się dobrze znana sytuacja: Anna najęła się do pracy w Øversjødalen, odłożyła trochę grosza, a Długi Karol zabrał pieniądze i nalegał, aby iść dalej. Mróz był w górach tej nocy, gdy około czwartej nad ranem wyruszyli w kierunku Gløføken. Cały swój mizerny dobytek spakowali w wężelek i przytroczyli do sanek. Śnieg przymarzł, była dobra sanna – mieli zamiar przedostać się do Rendalen.

– Nie zdołaliśmy jednak dojść dalej niż do szałasów na Storlegda, położonych w samym sercu dzikich gór, gdy warunki śniegowe pogorszyły się znacznie. Nie było mowy, żeby iść dalej. Dzięki Bogu, znaleźliśmy otwarty szałas z piecem w kącie, ogrzaliśmy się więc trochę i zatrzymaliśmy się tam na nocleg.

A nazajutrz, gdy trzeba było ruszyć w dalszą drogę, okazało się, że przyszło nagle ocieplenie i śnieg zmiękł. Zapadając się prawie do pasa,

brnęłam naprzód metr za metrem, ponieważ jednak dźwigałam ciężki, skórzany plecak, za każdym krokiem tonęłam w śniegu. W ten sposób torując sobie z mozołem drogę, przeszliśmy ponad dziesięć kilometrów i dotarliśmy do Skjellåvollen, gdzie znów schronieniem był nam szałas. Zapasy żywności były już na ukończeniu, a mnie dręczył niepokój, jak skończy się ta cała przeprawa.

Liczyłam się z tym, że trzeci dzień okaże się najtrudniejszy. Tak też się stało. Do Smekkjølbua było jeszcze około trzydziestu kilometrów przez nagie, skaliste góry – nie rósł tu nawet najmniejszy krzaczek, mijaliśmy tylko kamienne kopczyki wystające spod śniegu. Znów zapadałam głęboko w śnieg i tylko resztkami sił wydostawałam się na wierzch. Przemoczona i zlana potem, z pończochami w strzępach, czułam, że przygnębiecie bierze we mnie górę.

O zmroku dotarliśmy wreszcie do Smekkjølbua, starego szałasu z wywalonymi drzwiami i ogromną zaspą śniegu u wejścia. Zaledwie kilka metrów od szałasu przyszedł kryzys. Byłam zupełnie wyczerpana, przed oczyma migwały mi czarne platy i wszystko wydawało się beznadziejne. Zrezygnowana położyłam się w najbliższej zaspie i jęknęłam: „Nie podołam ani kroku dalej”. Długi Karol odrzekł z powagą: „Jeśli miałbym postradać życie, to za większą cenę...”

Dziwna rzecz, lecz te słowa podziałały na mnie krzepiąco. A może rzeczywiście nie wszystko jeszcze stracone? Z uczuciem, że krew rozsada mi serce i tętna, przekopałam się przez zaspę do wnętrza szałasu. Długi Karol rozpałił ogień. Leżąc na ławie, czułam, że ogarnia mnie przyjemne ciepło i zarazem powraca chęć do życia. Musimy przecież dać radę, do Undset w Øvre Rendal pozostało nam tylko piętnaście kilometrów, a tam jesteśmy uratowani.

Czwartej dnia wszystko wyglądało jaśniej. Schodziliśmy w dół z boczem ku wsi i nigdy w życiu nie cieszyłam się bardziej na widok

niewielkich krzewów kosodrzewiny, jak tego dnia – minęliśmy bowiem górną granicę lasów. Sterczący nad śniegiem wierzchołek świerku przypomniał mi, że i tym razem opatrność czuwała nade mną.

Niedaleko od przysiółka Undset usiadłam w śniegu i wycisnęłam wodę z pończoch. Otuchy dodawała mi myśl o starej, poczciwej Annie Kvernengen mieszkającej w tej wsi. Byłam pewna, że mogę liczyć na nią i nie zawiodłam się, przez cały dzień pozwoliła mi wypoczywać w swojej chacie. Chociaż w dalszym ciągu byłam przemarznięta, czułam, że powoli przychodzi do siebie. Również Długiemu Karolowi dała się ta wyprawa dobrze we znaki. Był bardziej blady, zamyślony i nie odzywał się prawie. Wydaje mi się, że przynajmniej raz w życiu przestraszył się trochę tego, na co nas narażał.

W pogodny, jesienny dzień, parę lat później, ciągnęli drogą wiodącą przez Øvre Rendal. Annie podobała się ta okolica, chętnie zatrzymałaby się tutaj na jakiś czas. Długiemu Karolowi było zaś wszystko jedno. Najważniejsze, żeby Anna zarobiła tyle, by mógł sobie pozwolić na wódkę i na buszowanie po okolicy. Załatwienie sprawy należało oczywiście do Anny, która tym razem najęła się do wyrębu drzewa w Saetanlia. Sama też, kupiwszy siekiere i piłę, musiała przygotować narzędzia do użytku. Zamieszkali w szałasie położonym wysoko na stoku doliny, skąd przez wiele tygodni wędrowała Anna codziennie półtorej godziny bezdrożem do miejsca wyrębu.

– Około Bożego Narodzenia zmuszeni byliśmy przenieść się do Sagkoia, nędznego, przegniłego szałasu z lichym piecykiem. Nocami bywało tak zimno, że z radością oczekiwałam świtu, kiedy będę mogła wziąć do

ręki siekierę i piłę, i rażno podążyć w las. Pracowałam jak dzień długi ścinając drzewa i oczyszczając pnie z gałęzi i kory. W głębi lasu leżało jeszcze dużo śniegu, który sięgał mi do pasa. Po skończonym dniu nie pozostawało nic innego, jak tylko rozpalic ogień i usiąść przy kominie. Ponieważ nie miałam nic na zmianę, siedziałam w przepoconej i mokrej odzieży tak długo, aż wyschła na grzbiecie. Po całym dniu ciężkiej pracy bywałam tak zmęczona, że bez trudu zapadałam w sen, mimo iż ława była twarda i nie bardzo miałam się czym przykryć.

Pewnego dnia, w trzydziestostopniowy mróz, stojąc przy pracy po kolana w śniegu, odmroziłam nogi. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero wieczorem, w szałasie, gdy po rozpaleniu w piecu poczułam nagle okropne swędzenie lewej stopy. Najbardziej piekło w palcach, a w końcu ból był prawie nie do wytrzymania. Zacięłam jednak zęby, bo wiedziałam, że nic nie pomogą skargi na niełaskawy los i nakazałam sobie: „To też musisz znieść Anno”. Pomyślałam też tak: „Nigdy nie jest tak źle, żeby nie było się czym pocieszyć”. I przyszło mi na myśl, że parę dni temu, przy mierzeniu drzewa, jeden ze stemplowych pochwalił mnie za dobrą robotę. Byłam dumna z pochwały i od razu wszystko wydało mi się łatwiejsze do zniesienia. Przyjemnie było pomyśleć o tym teraz, leżąc w mroku szałas, z zimową nocą za oknem i słabą poświatą resztek dogasających żagwi, przebłyskującą przez drzwiczki piecyka. Przyszło mi również na myśl i to, że gdyby wszystko między Długim Karolem a mną było tak, jak być powinno, gdybyśmy mogli rozmawiać ze sobą, od razu byłoby łatwiej. Nic nas jednak nie łączyło, wołałam więc chować moje troski dla siebie. On żądał tylko i brał, a ja dawałam, nie stawiając oporu. Coraz wyraźniej czułam, że jestem wyłącznie narzędziem w jego ręku, rodzajem woła roboczego, i że na żadne ludzkie uczucia nie ma w takim życiu miejsca.

A nazajutrz, kuśtykając, znów podążyłam do lasu. Było to już lepsze niż pozostać teraz w szałasie razem z Długim Karolem i tłamsić

wszystko w sobie, szarpiąc nerwy. Stopa bolała bardzo i spuchła tak, że nie mogłam włożyć buta. Od poczciwej Anny Kvernengen dostałam kiedyś „skarpetę”, uszytą ze starego filcowego kapelusza, ze wzmocnioną podeszwą – okazała się te raz jak znalazł. Do końca zimy służył mi ten papuc przy wyrębie drzewa.

Tejże zimy na skutek odmrożenia porobiły mi się na stopie wielkie bąble i noga nie wydobrzała już nigdy całkiem po tej niefortunnej przygodzie. Za każdym razem, gdy ból dawał mi się szczególnie we znaki, myślałam o Annie Kvernengen, dobrej i poczciwej niewieście. Myślę, że biedaczka namarzła się w swoim życiu jeszcze więcej niż ja. Od dzieciństwa życie okazało się dla niej brutalne i twarde, opowiadała mi o tym, kiedy siadywałyśmy razem w jej maleńkiej chatce.

Pewnego razu we wczesnym dzieciństwie nie było w domu nic do jedzenia w wieczór wigilijny i zrozpaczona matka posłała Annę z siostrą do wsi w Rendalen, aby poprosiły o wsparcie pastora Bulla, który był ojcem Jacoba Breda Bulla. Pastor zrozumiał ich sytuację, a że miał litościwe serce – Anna z siostrą wróciły do chaty z zapasem jedzenia.

Wydaje mi się, że Anna Kvernengen miała jeszcze gorsze dzieciństwo niż ja. Już jako mała dziewczynka sprzedana została na aukcji w Rendalen – ten, kto zaofiarował się wziąć najmniej, dobijał targu. Taki był system opieki społecznej w tamtych czasach, i kto zgodził się przyjąć dziecko za najniższą sumę, był pewien, że je dostanie, zapewniając sobie w ten sposób tanią siłę roboczą. Zaś dzieciak sprzedany na aukcji musiał przygotować się na ciężką pracę i wiele upokorzeń. Anna Kvernengen doświadczyła tego na własnej skórze i może dlatego wcześniej zaczęła marzyć, żeby urządzić się na swoim, choć skromnie i ubogo, i aby sama wreszcie mogła decydować o swoim losie. Skończyło się na tym, że zamieszkała samotnie w małej chatce w Rendalen. Tam ją spotkałam i zaprzyjaźniłyśmy się, zawsze też mogłam liczyć na jej pomoc w najgorszych chwilach.

Śmierć Anny podobna była do jej życia. Pewnego wieczora w trzaskający mróz, z kosturem i latarką w ręku wybrała się do krów w oborze. Była już wtedy stara i niedołączna, toteż straciwszy orientację zabłądziła i wyszła na drogę prowadzącą do lasu. Tam przewróciła się i leżała jakiś czas w śniegu na mrozie, aż przemarznięta i prawie bez życia znalazł człowiek wiozący drzewo. Odwieziono ją do domu starców w Rendalen, gdzie wkrótce potem umarła.

Gdy nadeszła wiosna, Długi Karol nie mógł usiedzieć dłużej w Rendalen. Znudzony był osiadłym trybem życia, ciągnęło go znowu w świat, wiedział też, że Anna miała teraz trochę grosza. Zabrał jej wszystko i w krótkim czasie przepił. Szli bez celu, aż w końcu kwietnia dotarli do górskich traktów w Sømådalen, tam gdzie na wschód leży Istersjøen i Femundsfjella zamykające horyzont od strony Szwecji.

– Znowu byliśmy w nędzy. Nie zdołałam nawet kupić nic z odzieży, ponieważ Długi Karol przepił wszystko, nie mieliśmy też nawet kawałka chleba. Wyglądałam żałośnie i z niechęcią myślałam o nadchodzących dniach. Jedynym jasnym punktem w tej niedoli była myśl o wiośnie. Chociaż przychodziła ona późno w te strony, to te krótkie słoneczne chwile w południe stały się dla mnie prawdziwym zastrzykiem zdrowia.

Wiedzieliśmy o prymitywnym szałasie rybackim koło Fjerdinshaugen nad Istersjøen, siedem kilometrów na północ od Haugsetvolden, starej samotnej zagrody leżącej na zboczu schodzącym ku zachodniemu brzegowi jeziora. Postanowiliśmy udać się tam, lecz że z Sømådalen do Fjerdingshaugen nie wiodła żadna droga, przyszło nam brnąć w śniegu, zanim wyczerpani dotarliśmy do szałasów nad jeziorem. Drzwi stały

otworem, w kącie chylił się zardzewiały piecyk, twarde, drewniane koje bez materaców i pokrycia przytwierdzone były do ściany, a od dawna nie naprawiany dach prześwitywał dziurami. Weszliśmy do środka, próbując zadomowić się w tej nędzy.

Dni spędzone w szałasie koło Fjerdingshaugen najchętniej wymazałabym z pamięci. Byłam na wpół przytomna z głodu i wyczerpania, miałam też zawroty głowy. Trudno o bardziej beznadziejną sytuację – nie mogliśmy iść dalej, gdyż miejsce było odcięte od świata, a ja czułam tylko rosnące przygnębienie. Opuściła mnie zupełnie chęć do życia i znikąd nie było widać pociechy. Godzinami siadywaliśmy tak w milczeniu, całkiem zrezygnowani.

Przebywaliśmy w szałasie już dobrych kilka dni, gdy nieoczekiwanie pojawiło się dwóch mężczyzn z koniem w zaprzęgu. To stary Jo Haugsetvolden przyjechał z synem Johanem, aby zabrać nawóz koński z pobliskich bud. Najwyraźniej widziałam, że mężczyźni zaskoczeni byli widokiem ludzi w szałasie, zdawało się również, iż dostrzegli, w jak opłakanym stanie się znajdowaliśmy. Opuszczając szałas, by wrócić do konia, Jo Haugsetvolden zatrzymał się nagle, zmierzył mnie długo badawczym wzrokiem i powiedział: „Jutro przyjdiesz do mnie...”

Była to decydująca chwila, słowa wypowiedziane przez Jo dźwięczały mi długo w uszach, teraz albo nigdy, myślałam, musi się to stać.

Nazajutrz, a było to trzydziestego kwietnia 1928 roku, człapiąc w wodzie przebyłam siedem kilometrów przez zamrożone jeszcze jezioro. Celem mojej wędrówki było Haugsetvolden. Szłam brodząc po kolana w lodowatej bryi i strzępiąc do reszty mój ubogi przyodziewek, aż nieprzytomna ze zmęczenia dotarłam wreszcie do zagrody. Nędzniejszym i bardziej wyczerpanym nie może czuć się człowiek, niż ja tego dnia, gdy przyszłam do Haugsetvolden, z rękami poranionymi podczas wyrębu drzewa w Rendalen i obrzękłymi po zmaganiu się ze śniegiem. Męczyło

mnie również i to, że nie zdołałam pozbyć się Długiego Karola – przyszedł za mną do Haugsetvolden i rozlokował się tutaj, jak gdyby nigdy nic.

W Haugsetvolden mieszkały wtedy cztery osoby: Jo z żoną Tyri, ich syn Johan i przyrodni brat Jo, zwany Starym Johanem, który mieszkał osobno w rybaczówece nad brzegiem jeziora. Z początku siadywałam często w staromodnej świetlicy i obserwowałam mieszkańców zagrody: Jo był wysokim, silnym mężczyzną o surowym wyglądzie, można było przypuszczać, że stawia wysokie wymagania sobie i innym. Na Tyri twarde życie na odludziu odcisnęło się trwałym piętnem: była mała, odziana w parciany wór i zgarbiona tak, że głową dotykała prawie kolan, a gdy chciała spojrzeć w górę, przekrzywiła głowę jak czapla. Nie sprawiała wcale przyjemnego wrażenia, obawiałam się jej bardzo, gdyż ciskała mi pożywienie jak psu. Był to oczywiście jej sposób bycia, lecz mnie każdy kęs stawał ością w gardle. Mimo że od pierwszej chwili wzięłam się do ciężkiej pracy, traktowano mnie jak darmozjada. Z goryczą myślałam o każdym kawałku chleba, który mi tutaj rzucono.

Nie czułam się tu u siebie, wszystko było takie inne niż to, czego pragnęłam. Nie znaczy jednak, że posiadałam zbyt wysokie wymagania, obawiałam się tylko pozostać w miejscu, gdzie nie dane mi będzie poczucie bezpieczeństwa, którego szukałam od dzieciennych lat. Chata wyglądała zimno i nieprzytulnie, dwie nędzne, brudne i zagracone izby na cztery osoby. A jednak mimo wszystko miałam nadzieję, że będę mogła zamieszkać w Haugsetvolden. Postanowiłam rozstać się z gościńcem i wędrownym życiem na dobre, gorzej niż tam nie mogło być nigdzie.

Nie zanosilo się też na to, by Długi Karol miał zamiar opuścić Haugsetvolden, lecz teraz wiedziałam, czego chcę i za wszelką cenę postanowiłam dopiąć swego. Długi Karol zrozumiał powagę moich słów, gdy mu oznajmiłam: „Nie pójdę z tobą dalej, dosyć nacierpiałam się przez ciebie i nie chcę widzieć cię więcej. Pozostaję w Haugsetvolden”.

A wkrótce potem Jo zwrócił się do Długiego Karola z żądaniem, aby ten sobie poszedł. Stałam na uboczu, słysząc ich rozmowę i chociaż mogłam spodziewać się wszystkiego ze strony Długiego Karola, to jednak te ostatnie chwile były dla mnie najbardziej przykre i bolesne. W najgorszych myślach nie przypuszczałam, że można być do ostatniej chwili tak wykorzystywanym jak ja. Byłam świadkiem tego, jak mój mąż sprzedawał mnie do Haugsetvolden, targował się z Jo o cenę i widziałam, że Jo zapłacił mu trzysta koron za mnie. Zawsze zabierał mi wszystko, co posiadałam, a teraz na dodatek sprzedał mnie jak niewolnicę.

Nazajutrz wczesnym rankiem Długi Karol opuścił Haugsetvolden. Łód na jeziorze odtajał tej nocy, Johan odwiózł go więc łodzią do Fjerdingshaugen.

Stałam w oknie i patrzyłam, jak zniknął w oddali. Tak oto zakończył się rozdział mojego życia z Długim Karolem. Wiem, że udał się na wschód, przekroczył szwedzką granicę i słyszałam potem, że umarł w szpitalu w Mora.

Z początku myślałam, że nie wytrzymam w Haugsetvolden. Coraz wyraźniej pojmowałam, że muszę być tutaj jednocześnie koniem, parobkiem i służącą – wymagano ode mnie więcej niż to było sprawiedliwe. Nie mogłam też znieść, że Tyri ciskała mi jedzenie, nie byłam w stanie przełknąć ani kęsa w jej obecności.

Pewnego dnia, gdy beznadziejność i przygnębienie wzięły górę, głodna i pełna zwątpienia leżałam na ziemi koło starego spichlerza. Byłam u kresu sił i wydawało mi się, że nie mam po co żyć. Chowając głowę w trawie, z rozpaczą wczepiłam palce w ziemię. Zdało mi się wtedy, że posłyszałam słowa...

Obróciłam się nagle na plecy i złożywszy ręce patrzyłam prosto w niebo. Modliłam się. Głośno postawiłam sobie pytanie: „Co mam dalej robić, dokąd iść?” Była to zarazem modlitwa i wyzwanie. I wtedy zdało

się mi, że usłyszałam głos: „Zostaniesz tutaj, w Haugsetvolden, bo tu jesteś potrzebna. Ludzie z Haugsetvolden nie dadzą sobie rady bez ciebie. Oto twoje zadanie, Anno”. A najwyraźniej usłyszałam słowa: „Idź tam i czyń dobrze...”

Od tej pory nie wątpiłam już dłużej. Wiedziałam, że tutaj, na pustkowiu jest moje miejsce. Pogodziłam się z losem i znalazłam cel w życiu.

Anna musiała podołać każdej pracy, nikt nie troszczył się o to, że jest kobietą i czy ma dość sił. Ci, którzy znali Haugsetvolden z tamtych czasów, zwykli mawiać: „Stary Jo dba więcej o konia niż o Annę – jej przypada robota, której oszczędzono koniowi”.

A Anna nigdy nie myślała się oszczędzać. Miała teraz pewność, że jej pomoc była dla ludzi z Haugsetvolden warunkiem przetrwania. Wielokrotnie powtarzała sobie, że stokroć uboższe życie wie dzie ten, kto nie miał choć raz okazji przyjścia z pomocą innym. Bezsensowna nędra, jakiej zaznała w leśnej chacie w Rendalen i w szałasie koło Fjerdingshaugen i która doprowadziła ją niemal do depresji, należała teraz tylko do przykrych wspomnień. Doszła do wniosku, że troska o innych jest tym, co nadaje życiu sens. A gdy mimo to nie zawsze bywało lekko, myślała Anna o starym listonoszu, Martinusie Sømåen, który raz w tygodniu przynosił pocztę do Haugsetvolden. Latem musiał przebywać dziesięć kilometrów pieszo, żeby dotrzeć do Istersjøen, a następnie wiosłować szesnaście kilometrów przez jezioro do Gløtberget. Zimą zaś dźwigał worek z pocztą przez góry; przychodził oszroniony i przyprószone śniegiem, często ze złapanym w sidła ptakiem, przerzuconym przez ramię. „Głupstwo!”, mawiał Martinus o sprawach, które były skomplikowane i zawiłe. Nic mu nie było straszne, zmagania z dziką przyrodą zahartowały go i uodporniły na wszystko.

– Wspominałam także to, co opowiadano mi o mojej matce. Gdy przyszłam na świat, matka była zbyt słaba, by karmić mnie piersią, żeby więc odzwyczaić mnie od ssania, smarowała sobie brodawki sadzą. Zawsze, kiedy pomyślałam o tym, łatwiej mi było pogodzić się z losem.

Około świętego Jana przeprowadzaliśmy się na szałas położony dwanaście kilometrów od Haugsetvolden. Całymi dniami wędrowałam po lesie i górach, pasąc bydło. Na plecach dźwigałam ze sobą wór pełen szmat i włóczki, każdą bowiem chwilę trzeba było wykorzystać. Podczas marszu przez cały czas śmigały w moich rękach druty; wyrabiałam rękawice, skarpety, swetry i szale dla Jo i Johana. A kiedy mogłam przysiąść na chwilę, zabierałam się do łątania podartej odzieży. Tyri przygotowywała mi coś do jedzenia, lecz ponieważ wydzielala skąpe porcje, wracałam wieczorem wygłodniała do szałasów. Nim jednak na stole pojawiła się wieczerza, musiałam wydoić krowy i oporzędzić bydło.

Pasterskie życie miało też swój urok, choć czasami ogarniał mnie osobliwy smutek. Nieraz doskwierała mi samotność i zasiewała w sercu dziwny lęk. Może dlatego, że przyroda wokół była tak wspaniała, a życie takie niepojęte? Oprócz zwierząt nie miałam się do kogo zwrócić, lecz właśnie bliski kontakt z nimi był mi wielokrotnie pociechą. Gdy przytulałam głowę do poczciwego, krowiego karku, przenikało mnie ciepło i spokój, które pozwalały zapomnieć o samotności.

Były też dobre dni, kiedy słońce unosiło się nad bagniskami, a lekki wietrzyk od czasu do czasu muskał twarz. Bywało wtedy, że nuciłam sobie jakąś wesołą i skoczną melodię. Dziwnym trafem zdarzało się to najczęściej w drodze do domu, kiedy mijałam Svalskaret, szczególnie miejsce nagrzone i zaciszniejsze od innych, pachnące wrzosem, brzezina i jałowcem. I zwierzęta, i ja lubiliśmy tę polanę, całe stado ciągnęło za mną sznurem w jednym rytmie, tak, jakby droga do domu była dla nas wspólną radością.

Któregoś lata mieliśmy w Haugsetvolden złośliwego byka. Bałam się go tak, że nie miałam odwagi podejść do niego bez porządnego kija. Pewnego razu, koło Svalbua, myślałam, że nadeszła moja ostatnia chwila. Nie podejrzewałam najmniejszego niebezpieczeństwa, gdy nagle byk natarł i przewrócił mnie. Kij wypadł mi z rąk, nie miałam się czym bronić, leżałam więc nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do ziemi, udając martwą. Byk bódł, tratował i rwał na mnie odzienie, czułam, że rogi wpijają mi się w plecy jak szydła. Zacisnąwszy jednak pięści, trwałam w bezruchu. Byk prychał i bódł, aż ziemia i mech fruwały w powietrzu, lecz nagle zaprzestał ataków i uspokojony oddalił się leniwie. Wieczorem, roztrzęsiona i zmaltretowana, nie mogłam ochłonąć z wrażenia po tej niefortunnej przygodzie, długo potem byłam obolała i czułam się nieswojo. A złośliwe byczysko zapłaciło życiem za te głupie żarty.

Podczas gdy ja całymi dniami wędrowałam za bydłem, Jo z Johaniem kosili siano na polanie koło szałasów. Do mnie należało potem zgrabienie i rozrzucenie siana na żerdziach. Zabierałam się do tej roboty po wieczornym obrządku i wiele letnich nocy zeszło mi przy tym zajęciu.

I chociaż praca bywała ciężka, nie przeszkadzało to Annie cieszyć się nocnym nastrojem na polanie. Jasne, letnie noce miały szczególnie urok, pachniało siano, a łąka pulsowała życiem. Anna nasłuchiwała z zaciekawieniem i obserwowała, co działo się wokół niej. Ptaki trzepotały skrzydłami, zwijając się równie pracowicie jak ona.

– Uśmiechałam się, patrząc na ptasią zapobiegliwość i krzątanie wokół swego potomstwa, „Ty też jesteś takim ptaszkiem, Anno – myślałam sobie – też masz o kogo się troszczyć”.

Najchętniej porównywałam siebie do dzięcioła. Zdarzało się, że siedząc na kępie z grabiami w podołku przeżywałam na nowo zapamiętaną

z dzieciństwa opowieść mojej matki: kiedy Jezus wędrował po ziemi, wstąpił pewnego razu głodny do chaty, gdzie gospodyni piekła chleb. Kobieta miała na głowie czerwoną chustkę, a na imię było jej Gertruda. Gdy gospodyni wzięła do ręki mały kawałek ciasta, natychmiast urósł on w wielki bochen, nabierała więc coraz to mniejsze porcje, a chleby stawały się coraz większe. Lecz gdy Jezus poprosił ją o kawałek chleba, nie dała mu ani okruszyny. Wtedy Jezus rzekł: „Ponieważ pożałowałaś mi odrobiny chleba, będziesz odtąd zamieniona w ptaka, który wydziobywać musi swe pożywienie spod kory, a pragnienie zaspokoi tylko wtedy, kiedy pada deszcz”. Gdy to powiedział, z komina wyfrunął ptaszek z czerwonym czubkiem – dzięcioł, u nas nazywany także ptaszkiem Gertrudy.

Kiedy matka opowiadała przypowieść, niewiele z niej pojęłam, lecz teraz rozumiałam wszystko: Masz dzielić z bliźnimi swymi cały swój majątek. A że jedynym moim majątkiem było dwoje rąk do pracy, nimi to chciałam pomagać ludziom w Haugsetvolden.

A pracowitych rąk Anny potrzebowano tutaj bardzo. Rok po roku, zima czy lato, była Anna zawsze równie chętna do pracy, podejmując się często najcięższych robót w Haugsetvolden. Gdy siano z polany było już bezpiecznie pod dachem, udawała się daleko na połoniny w poszukiwaniu dodatkowej paszy dla bydła. Przemierzała wiele kilometrów, kosząc trawę rosnącą wzdłuż potoków, dookoła podmokłych jezior, na rozległych bagnach i trudno dostępnych trzęsawiskach. Potem układała siano warstwami na żerdziach i zabezpieczała je od deszczu daszkiem z turzycy. Sporządzenie takiego daszku było sztuką wymagającą nie lada wysiłku i umiejętności. A jak tylko przyszedł mróz, spadły śniegi i lód był dosyć mocny, należało zwieźć siano do zagrody. Do Setertjønna, w górach, skąd pochodziła większość siana, było z Haugsetvolden około piętnastu kilometrów. Zarówno Anna, jak i Jo z Johanem udawali się na taką wyprawę saniami, najpierw jadąc po często niepewnym jeszcze

lodzie do Isterenholmen, a stamtąd dalej na zachód przez niebezpieczny, podmokły teren, gdzie łatwo było ugrzęznąć.

– Niejednokrotnie wydawało mi się, że i ludzie, i koń nie dadzą rady. Nie pozostawało nam jednak nic innego, jak tylko próbować – wiedziałam z doświadczenia, że kto nie próbuje, do niczego nie dojdzie. Ryzykowaliśmy i przeważnie się udawało. Zawsze jednak uważałam za cud, gdy z najbardziej beznadziejnej sytuacji znalazło się jakieś wyjście. Od dzieciństwa miałam to przekonanie, że jeśli zabraknie mi wiary w powodzenie, gdy stracę panowanie nad sytuacją, wtedy dopiero naprawdę będzie źle.

Jesień i zima były najcięższym okresem dla wszystkich mieszkańców Haugsetvolden, a zwłaszcza dla Anny, która rano i wieczorem musiała pomagać niedołącznej Tyri w domowej robocie, a przez cały dzień pracować w gospodarstwie na równi z mężczyznami. Od końca października do późnego listopada przebywała w górach niedaleko Svalåsen i Svalskaret, zbierając mech i przygotowując go do transportu. Każdy ładunek ważył około trzystu kilogramów, zazwyczaj pakowała Anna osiem do dziesięciu ładunków dziennie.

– Mech zbierałam po prostu widłami, a następnie w koszu na plecach znosiłam do miejsca, gdzie zawczasu przygotowany był podkład, potem zaś przez całą zimę woziłam mech z gór. Zwózkę trzeba było dobrze przygotować, dlatego też na kilka dni przedtem zarzucałam na ramię śniegołazy i ruszałam na nartach w las. Samotnie przeprowałam się przez błota, nieraz przyszło mi człapać po kostki w wodzie przez mokry śnieg. Czasami ciemniało mi już w oczach, wiedziałam jednak,

że muszę iść dalej – od tego bowiem zależało, czy ludzie i zwierzęta w Haugsetvolden przetrzymają zimę. A gdy wreszcie przyszedł mróz, i droga, którą wydeptywałam przez moczary nadawała się do przejazdu, czułam odrobinę ulgi i zadowolenia.

Najtrudniejsze dni nadchodziły dopiero wtedy, gdy spadł śnieg; zdarzało się, iż napadało tak dużo, że koń zapadał się aż po brzuch. Często trzeba było iść przodem z siekierą i wycinać pniaki, które stały na przeszkodzie. Nieraz, gdy koń utknął w zaspie, zmęczony i zlany potem, musiałam go odkopywać, by mógł ruszyć dalej, lecz wkrótce znowu powtarzało się to samo – koń grzązł na nowo w zaspie z całym ładunkiem, albo przewracał się po prostu, więc od początku trzeba było odgarniać śnieg i na dodatek wciągać konia na właściwy tor.

Zawsze, gdy pomyślałam, że koniowi jest jeszcze ciężej niż mnie, czułam się pokrzepiona. Ten, kto ma konia za towarzysza pracy i kto lubi zwierzęta, nauczy się być silnym i wytrzymałym w trudnych sytuacjach. Jak mogłam, oszczędzałam Siwka i dbałam o niego nie gorzej niż o własne dziecko, razem stawialiśmy czoła przeciwnościom i niebezpieczeństwom. Muszę też przyznać, że kiedy było szczególnie niebezpiecznie, nie potrafiłam odpędzić myśli o tym, co stało się z Hallsteinen Nyvollem z Narbuvoll. Pewnego razu, gdy samotnie pojechał w góry po mech, przygnieciony został przez ciężki ładunek i znaleziono go już nieżywego, a przemarznięty koń stał w zaspie ze smutno zwieszonym łbem.

Ja też często sama, z koniem zaprzężonym do sań, wyprawiałam się w góry. Gdy w końcu października trzeba było zwozić mech, musieliśmy podołać we dwoje z Siwkiem, gdyż Johan zajęty był przy połowach na Istersjøen. Zgarniałam mech prosto do sań i udeptywałam z całych sił, żeby zmieścić jak najwięcej. Nie było mowy o powrocie z niewielkim ładunkiem – Tyri patrzyłaby krzywo i na mnie, i na Siwka. Miałam wrażenie, że koń mnie rozumiał, bo za każdym razem, kiedy udeptywałam

mech, kiwał wesoło i zachęcająco łbem, jakby chciał powiedzieć: „Upychaj, Anno, upychaj, kilka łopat więcej, to dla nas fraszka!”

Mimo że dobrze znałam góry, nie zawsze bywałam pewna, czy obrałam właściwy kierunek, zwłaszcza jeśli śnieg spadł nagle i odmienił krajobraz. Nawet wtedy, kiedy niepogoda zaskakiwała mnie w drodze po mech, nie śmiałybym zawrócić – ludzie w Haugsetvolden mieliby mi to z pewnością za złe. W takie dni dobrze było mieć ze sobą siekiere, którą nacinałam drzewa w lesie, zabezpieczając sobie w ten sposób odwrót. Nieraz potem błogosławiłam własną przezorność, odnajdując jasne znaki na pniach drzew. Dzięki nim czułam się bezpieczniej, gdy powracałam do Haugsetvolden o zmroku.

Z wypraw po mech wracałam przemoczona i wyczerpana, a kiedy odstawiałam już Siwka do stajni, ogarniało mnie zaraz uczucie samotności. Zrezygnowana myślałam, że koń jest jedyną istotą, na którą naprawdę mogę liczyć. Lecz nawet w takich chwilach nie poddawałam się zupełnie, miałam swoje powody do zadowolenia. Cieszyłam się za każdym razem, gdy mogłam podrzucić bydłu własnoręcznie ubierany mech. Uważałam za błogosławieństwo losu, że to właśnie mnie dane było zbierać i zwozić ten mech, bez którego nie mogłyby się obyć zwierzęta stojące u żłobu w ubogiej oborze w Haugsetvolden. Muszę też wyznać, że nie znam miłszego ciepła jak to, które przenikało do mnie od krowiego cielska przez ciężkie z wilgoci łachmany. Codziennie, gdy po wieczornym obrządku zamykałam drzwi obory, miałam pewność, że minął jeszcze jeden dobry, pożytecznie spędzony dzień.

A kiedy kalendarz w Haugsetvolden wskazywał marzec i kwiecień, szykowała się Anna do wyrębu drzewa. Do zwyczaju należało, by przeprowiać się w tym celu przez zamrażnięte jezioro do Digerneset, gdzie

rosło dużo dobrej i pięknej sosny. Zaraz po porannym obrządku kładła Anna piłę i siekierę na sanki i ruszała w drogę. Gdy na jeziorze było mało śniegu, szła po lodzie, w przeciwnym razie przypinała narty i kierowała się ku wschodowi. Czasami, jeśli pogoda była ładna, przystawała na chwilę i radowała się, że słońce z dnia na dzień przygrzewa mocniej. Pasma Femundsfjella nabierało coraz to bardziej błękitnawych tonów, a gdzieś, w Bjønnberget, wiedziała, wędrowały stada reniferów. Lubiła myśleć o tym, puszczać wodze fantazji, ożywiając ten monotony, zimowy krajobraz. W wyobraźni Anny góry i lasy otaczające Haugsetvolden tętniły życiem i wabiły przygodą. Nie było jednak czasu na dłuższy odpoczynek i medytowanie – robota czekała.

– W Digerneset łatwo było znaleźć dużo wyśmienitej, suchej sosny, która nadawała się znakomicie na opał w Haugsetvolden. Porąbane drzewo układałam na sankach i ciągnęłam do brzegu jeziora, skąd zabierałam je potem przyjeżdżając z Siwkiem zaprzężonym do sań. Nieraz, kiedy wlokłam ciężkie pnie w kierunku jeziora, czułam w ustach słony smak krwi. Zajęcie było męczące, toteż nic dziwnego, że wieczorami, kiedy kładłam się spać, bolało mnie w krzyżu. Żeby odwrócić uwagę od roztkliwiania się nad własnym losem, próbowałam zająć myśli czymś innym. Bawiło mnie zawsze przywoływanie na pamięć żon dzierżawców z Hedmarku. We wczesnej młodości pracowałam tam w zamożnych gospodarstwach, wiążąc snopki podczas żniw. To, że żony dzierżawców szły do tej roboty niechętnie, potrafiłam zrozumieć, nigdy jednak nie mogło mi się pomieścić w głowie, dlaczego zamiast zdobyć się na odrobinę poczucia humoru, wołały popłakiwać przy pracy. Widząc ich naburmuszone miny, wybuchałam śmiechem, co miały mi za złe. I chociaż nasłuchiwałam się przykrych docinków, nie potrafiłam ukryć, że

z całej duszy nie znosiłam płaczu podczas żniw. Zbierałyśmy przecież ziarno na chleb nasz powszedni i nieprzyzwoitością wydawało mi się biadolenie przy takiej robocie.

W całej okolicy, wszędzie, gdzie się dało, poszukiwałam drewna na opał. Budynek w Haugsetvolden były stare i zimne, toteż nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie, ile świeżej brzeziny wyrąbałam i zwlokłam do zagrody. Duża piła również bywała często w robocie – Johan siedł wtedy ze mną do lasu i zabieraliśmy się do potężnych pni. Piłowanie było żmudną robotą, na szczęście Johan, który sam namęczył się w życiu niejednym raz, pojmował doskonale, co to znaczy być u kresu sił. Od czasu do czasu zarządzał „pięć minut odpoczynku”, nie okazując nigdy, że czyni to przez wzgląd na mnie. Zazwyczaj niewiele mówiliśmy przy tej robocie, lecz rozumieliśmy się bez słów i to wystarczało.

Zimą jeździłam często do lasu po chrust, który drobno posiekany dawałam krowom. Było to nędzne pożywienie, lecz trzoda zjadała je chętnie i potem żadna z krów w Haugsetvolden nie miała ani zapalenia wymienia, ani gorączki po ocieleniu – właśnie dzięki tej specjalnej paszy, która zapobiegała chorobom.

Zwykle wczesnym rankiem ruszałam z Siwkiem na wschód, ku łęgom ciągnącym się dookoła Orrmuttusjøen, by zwieźć chrust, i zdarzało się, że wracałam dopiero późno w noc. Bywało, ścinałam brzezinę przy świetle księżycy, samiuteńka na pustkowiu, daleko od dróg i ludzi. Jedynym moim towarzyszem był koń.

W czasie tych wypraw niewiele trafiało się niespodzianek, toteż gdy podczas nocnej jazdy przy świetle księżycy, z zarośli przed nami wyrwał się nagle lis, było to dla mnie miłym i pamiętnym wydarzeniem. W Haugsetvolden nie lubiano moich nocnych powrotów z wycieczek po chrust. Starucha Tyri, naburmuszona i trochę niespokojna czekała na mnie, siedząc skulona na brzegu łóżka przy świetle padającym od ognia

na kominie. Nie powitała mnie nigdy cieplejszym słowem – prawdę mówiąc, nie chodziło jej wcale o mnie, obawiała się tylko, że długie, nocne eskapady mogły okazać się zbyt męczące dla konia.

Najgorszy przednówek przyszło nam raz przeżyć w Haugsetvolden podczas wojny. Byliśmy dobrze zaopatrzeni, zawczasu nacięłam duże ilości chrustu, spodziewając się, że ludzie z komitetu rekwizycyjnego mogli zjawić się któregoś dnia i zabrać nam siano. I tak też się stało. Pewnego razu, na przedwiośniu, zjawili się trzech mężczyzn, którzy udali się prosto do stodoły i natychmiast zabrali się do pakowania i ważenia siana. Ładunek rósł i rósł, ilość siana w sąsięku malała, napawając nas lękiem. Myślałam, już nie o tym, ile trudu kosztowało zbieranie tego siana na górskich mokradłach, lecz ogarnął mnie strach o nasze zwierzęta.

Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach – zdawałam sobie sprawę z tego, że jeśli nie zdołamy wyżywić bydła, nasze szanse przetrwania na pustkowiu również będą znikome. Nie mogąc powstrzymać oburzenia podeszłam do rekwirentów i wypaliłam im prosto z mostu: „Zabierzecie wszystko siano, pozostanie nam tylko chrust, leży tu niedaleko, sami możecie spróbować, jak on smakuje”.

Ulżyło mi trochę, gdy to powiedziałam. A gdy rekwirenci wyjeżdżali ze stodoły z pełną furą kołyszającą się pod ciężarem i oddalali się mijając furtę w ogrodzeniu, przyrzekałam sobie, że i tym razem nie damy się złamać. Całą moją nadzieją był chrust, który już nieraz okazywał się deską ratunku w ciężkich chwilach, teraz też na to liczyłam. Od tej pory ze słowem „wojna” kojarzy mi się słowo „chrust”, z tym że wobec tego ostatniego czuję niemałą wdzięczność.

Dwa razy do roku dokonywano w Haugsetvolden wielkich zakupów, po które trzeba było jechać aż do odległego o sto kilometrów Røros i

Anna często brała udział w tych niełatwych, zimowych wyprawach. Podróż trwała tydzień, a Siwek ciągnął wyładowane towarem sanie tam i z powrotem. Na targu dominował handel wymienny, toteż kiedy Anna i Johan wyruszyli z Haugsetvolden, w ładunku znajdowało się zarówno dzikie ptactwo, pstrągi, jak i skóry. Towary te wymieniało się na kilka worków mąki, skrzynkę cukru w kostkach, worki z solą, kaszą, grochem i kawą. Zarówno schwytywanie wiezionych na targ przeszło stu pardw, jak i siedemdziesięciu kilo mrożonego pstrąga było dziełem Anny.

Do Røros wiodł trakt, którym od niepamiętnych czasów wożono towary. Wyruszywszy z Haugsetvolden, trzeba było najpierw przeciąć Istersjøen, następnie koło Bjønnfjorden skręcić na północ, by wreszcie minąwszy miejscowość Kvelvet dotrzeć do Stallvika koło jeziora Femund. Przez trzydzieści kilometrów droga trzymała się brzegu jeziora, potem koło Jonasvollen odrywała się odeń i wiodła poprzez Femundstjønnen do Tufsingdalen, a stąd przecinała Siksjøen prowadząc do Holden wzdłuż Korsjøene i dopiero na wysokości Hådalen trawersowała góry Korsøde schodząc ku Røros.

– Nigdy nie zapomnę jednej z tych wypraw. Było to podczas drogi powrotnej: Johan i ja wieźliśmy jak zwykle ciężki ładunek towarów. Przenocowawszy w Hådalen, mieliśmy nazajutrz wczesnym rankiem ruszyć w dalszą drogę. Spodziewaliśmy się, że czeka nas trudny dzień, gdyż góry Korsøde pokryte były głębokim śniegiem. Rzeczywistość przeszła jednak nasze najgorsze oczekiwania. Siwek zapadał się w śniegu tak, że jedynie grzbiet widać było na powierzchni. Często trzeba było zabierać się do łopat i odkopywać konia; w ten sposób udało nam się przebrnąć przez góry. Kiedy koń ustawał ze zmęczenia, odgarnialiśmy mu spod kopyt śnieg, aby mógł ruszyć z miejsca. Nieraz trzeba było

zdejmować z sań stukilowe wory, żeby dać mu szansę pociągnięcia kilku metrów. Z mozołem taszczyliśmy worki, przewracając się i tonąc w śniegu, zanim wreszcie udało nam się jakimś cudem załadować je z powrotem. Siwek ruszał znowu, powoli posuwaliśmy się naprzód.

Pod wieczór osiągnęliśmy Holda, gdzie czekał nas drugi nocleg, a następnego dnia przez Tufsingdalen chcieliśmy dotrzeć do Femundu. Na jeziorze rozpoczęła się już jednak odwilż, więc na wprost Buvika przyszło nam znowu stanąć. Koń czuł niebezpieczeństwo i okazywał niepokój, przerażony bił kopytami i cofał się tak gwałtownie, aż złamał dyszle.

Zatrzymaliśmy się. Nie było mowy, by jechać dalej; jedyne, co mogliśmy zrobić w tej sytuacji, to przedostać się do Buvika. Wyprzęgliśmy więc konia i ruszyliśmy pieszo po lodzie. Cały nasz ładunek z zapasami żywności, która miała starczyć w Haugsetvolden na wiele miesięcy, pozostał na jeziorze, przypominając wyglądem skulonego, wielkiego zwierza. Zapadał mrok, a do chat Buvika było jeszcze ładnych parę kilometrów, lecz gdy wreszcie dotarliśmy do ludzi, okazano nam wielką życzliwość, znalazła się kwatery na noc, a nazajutrz pożyczono nam dyszołki do sań.

Następny dzień na trasie do Jota w Sømådalen przyniósł również nowe kłopoty i niemałe trudności. Przez noc napadało dużo śniegu i nie mogliśmy rozpoznać drogi. Znowu trzeba było dźwigać, ciągnąć, odrzucać śnieg, aż ze zmęczenia ciemniało nam w oczach, oboje upadaliśmy wprost z wyczerpania. Wiedziałam jednak z doświadczenia, że jeśli nie ma możliwości odwrotu, a sytuacja naprawdę jest groźna, musi się znaleźć mimo wszystko jakieś wyjście. Na szczęście starczyło sił, a po powrocie miałam nawet wrażenie, że Tyri choć raz spojrzała na mnie łaskawiej niż zwykle.

Ostatnią wyprawę z towarem do Røros odbyłam z Johanem w kwietniu 1936 roku. Ludzie ostrzegli nas, że niebezpiecznie byłoby przeprawiać

się przez Femund, udaliśmy się więc do Øversjødalen przez góry, a w kilka dni potem wracaliśmy do Røros ze szczególnie wielkim i ciężkim ładunkiem. Byliśmy właśnie w drodze ku Øversjødalfjella, groźnym i stromym górom, gdy wokół nas rozpełtała się okropna zamieć. Niebo stało się ołowianoszare i śnieżycza szalała, jakby otwarto jej wszystkie spusty, my zaś mieliśmy do przebycia dziewiętnaście kilometrów przez góry. Śnieg zaczynał i siekł w twarz, nie było mowy o otwarciu oczu, zresztą nie na wiele by się to zdało, gdyż w zadyńce z trudnością widziało się na odległość własnej ręki.

Chwiejnym, niepewnym krokiem postępowaliśmy za saniami, ciemnoszara sylwetka konia majaczyła tylko przed nami na kształt upiora. Ogarnął nas strach, wiedzieliśmy bowiem, że był to niebezpieczny odcinek drogi – niejeden koń spadł tutaj w przepaść. Oboje wiedzieliśmy dobrze, że nie wolno nam stracić otuchy. Rezygnacja byłaby równoznaczna ze śmiercią, i to nie tylko dla Johana, Siwka czy mnie, lecz również dla tych, którzy bezradnie czekali w Haugsetvolden, całkowicie zależni od naszej pomocy. Tej nocy w górach Øversjødalen zawzięcie zmagaliśmy się z siłami przyrody i każdy krok naprzód w zamieci był zwycięstwem.

Okolo północy zamajaczyły nam w śnieżnej zawiei jakieś zabudowania. Okazało się, że dotarliśmy do samotnej, górskiej zagrody o nazwie Svarthaugen. Mimo iż znano nas tutaj dobrze, wiedziałam, że ludzie przestraszą się widokiem niespodziewanych gości o północy i w niepogodę. Chodziło tu jednak o życie zarówno ludzi, jak i zwierząt, nie zawahałam się więc mocno zakołatać do drzwi.

Byliśmy wyczerpani i wyglądaliśmy tak, że mieszkańcy Svarthaugen nie poznali nas od razu, byli pewni, że mają przed sobą jakichś włóczęgów, którzy zabłądzili w górach. Ludzie gór zawsze słynęli z gościnności, o czym mieliśmy okazję przekonać się w całej pełni tej okropnej nocy w górach Øversjødalen.

Noc ta mogła okazać się ostatnią w moim życiu, lecz widocznie nie wypełniłam jeszcze wszystkiego, co było mi przeznaczone dokonać w Haugsetvolden.

Podczas wojny przewoziła Anna każdej zimy ciężkie ładunki towaru na trzydziestodwukilometrowej trasie pomiędzy Sømådalén a Femundsenden, a jedynym jej pomocnikiem był koń. Wielokrotnie wymagało to nadludzkiego wysiłku, a tym, którzy widywali Annę i Siwka przeprowadzających się z towarem przez jezioro lub gęsty las, podczas zadyмки czy w wielki mróz, wydawało się to zupełnie bezsensowne. Anna sama nie myślała tak nigdy – troska o utrzymanie Haugsetvolden była u niej na pierwszym planie, a znając okolicę jak własną kieszeń, potrafiła przystosować się do warunków o każdej porze roku. Po wielu ciężkich próbach nie straszny był jej ani trzaskający mróz, ani niepogoda, zaś kawa, cukier, mąka i wszystkie inne produkty żywnościowe, jakie tylko udało się otrzymać, musiały dotrzeć do mieszkańców gór. Anna poczuwała się do wypełnienia tego zadania, uważając je niemal za swój obowiązek.

Wczesnym rankiem zaprzęgnęła Siwka do sań i jechała najpierw wzdłuż Istersjøen, a potem dalej, aż do Femundsenden, gdzie załadowywała kilkaset kilo towaru i o zmroku wracała znów do Haugsetvolden. Nazajutrz ruszała w dalszą drogę i po rozładowaniu towaru u kupca w Somådalén wracała pod wieczór do domu, gdzie czekali na nią starcy i dobytek, aby się nimi zajęła.

– Pewnego zimowego dnia, właśnie gdy załadowywałam większą partię towaru koło Femundsenden, nadeszła tale gwałtowna burza śnieżna,

że postanowiłam pozostać tam na noc. Szaleństwem byłoby wracać do Haugsetvolden w taką nie pogodę, narażając i konia, i towar. Dzięki Bogu, miałam ze sobą wiązkę siana, było bowiem rzeczą niemożliwą postarać się na poczekaniu o paszę dla konia w tamtych, wojennych czasach. Wczesnym rankiem, kiedy chciałam nakarmić Siwka przed wyruszeniem w drogę, okazało się, że Niemcy albo ktoś inny, zabrali moje siano, nie pozostawivszy nawet odrobiny. Byłam zupełnie bezradna, lecz nie chciałam poddać się beznadziejności. Z podłogi w oborze, gdzie nocował Siwek, zebrałam kilka płatów przesiąkniętej nawozem i wilgocią tektury, z plecaka zaś wyjęłam kilka kawałków nadpsutej już ryby, ugotowałam ją, ułożyłam na tekturze i poczęstowałam konia. Tego było Siwkowi za wiele, zdecydowanie odmówił przyjęcia przygotowanych przeze mnie specjałów i miałam wrażenie, że patrzył na mnie z wyrzutem, nie pojmując o co chodzi. Niestety, nie mogłam zaofiarować mu nic lepszego.

Zaprzągłam więc głodnego konia do sań, poklepałam go przyjaźnie i przemówiłam do niego: „Spróbujemy, Siwek, na pociechę mogę ci tylko powiedzieć, że jeden stukilowy wór odłożyłam do następnego razu”.

Nie wiem, kto bardziej był zmęczony, koń czy ja, kiedy dotarliśmy z towarem do Haugsetvolden. Tego dnia byłam szczególnie uradowana, że zdołałam zwieźć z gór uzbierane na mokradłach siano. Nie mogę też powiedzieć, żeby porcja, jaką po powrocie podrzuciłam Siwkowi do żłobu, była akurat skąpym przydziałem wojennym.

Również i w latach wojny do starej osady rybackiej Elvålsvollen nad Istersjøen, położonej pięć kilometrów od Nordre Sømådalén, przyjeżdżali tuż przed Bożym Narodzeniem przybysze z odległych stron. Pewnego razu, gdy byłam z towarem w Sømådalén i przyszło mi tam zanocować z powodu wielkich śniegów i złej drogi, poproszono mnie o przewiezienie żywności do Nordre Sømåen, skąd ludzie mieszkający w rybaczkówce mieli ją odebrać.

Niewiele brakowało, żeby ta nocna wyprawa źle się skończyła i dla mnie, i dla Siwka. Nie miałam sumienia odmówić przysługi ludziom z Elvållsvollen, do Bożego Narodzenia było tylko kilka dni, a żywność, na którą czekali, miała im wystarczyć przez całe święta. Żadna porządna droga nie wiodła w tamtą stronę, a wąską ścieżką jechało się powoli i z trudem. Na dodatek, kiedy dotarłam już do Somåa, zdarzyło się coś, czego nigdy potem nie mogłam sobie wytłumaczyć. Koń stanął nagle jak wryty i nie chciał iść dalej ani kroku, po chwili zaś, przestraszony i oszalały ruszył z impetem na oślep, forsując zbcze schodzące do potoku. Ponieważ nie wypuściłam lejców z rąk, rozpędzony koń przewrócił mnie i powlókł za sobą po śniegu, jak kłębek szmat. Rwaliśmy tak w podskokach przez zagajnik i dopiero kilkaset metrów za Sømåa, na drodze udało mi się zatrzymać pędzącego Siwka, który drżał na całym ciele, a wokół pyska wisiały mu frędzle piany. Próbowałam uspokoić go, jak tylko potrafiłam, przemawiałam doń łagodnie i poklepywałam przyjaźnie, zanim odważyłam się wreszcie powiedzieć „wio!” Koń usłuchał rozkazu, lecz czuło się, że nadal był strwożony i niepewny.

Niedaleko miejsca, gdzie Siwek się przestraszył, stała w lesie samotna zagroda o nazwie Rønningen. Skręciłam w tę stronę i zapukałam do drzwi. Gospodarz, Karl Larsson, pojął od razu, co się stało, a ponieważ potrafił obchodzić się z końmi, udało mu się uspokoić trochę Siwka. Nie było jednak mowy, żeby próbować dalszej jazdy – żywność dla ludzi z Elvållsvollen musiałam pozostawić w Rønningen. Odradzano mi także powrót do domu po nocy, wiedziałam jednak, co sobie pomyślą w Haugsetvolden, jeśli się nie zjawię – ruszyliśmy więc w drogę, polecając się opiece opatrności.

Siwek przyszedł całkiem do siebie, a że znał drogę do domu, rozumiał, że teraz naszym celem była już stajnia w Haugsetvolden. Ja zaś, opatuliwszy się w cały mój skąpy przyodziewek, próbowałam

urozmaicić sobie czas podziwianiem uroku zimowej nocy w lesie. Nie cieszył mnie jednak tym razem widok dobrze znajomych polanek, głazów czy kolib – był on tylko potwierdzeniem, że jesteśmy z Siwkiem na właściwej drodze.

Do Haugsetvolden dotarliśmy dopiero nad ranem. Było jeszcze ciemno, a stare, pokrzywione zabudowania zagrody leżały przede mną przycażone jak jakieś baśniowe stwory; na ich widok poczułam przypływ zadowolenia. Kiedy odprowadziłam Siwka do stajni, pozostało mi zaledwie tylko tyle czasu, żeby zdrzemnąć się trochę, nim rozpocznie się nowy, wypełniony pracą dzień – wstawać trzeba było wcześniej, trzoda czekała na poranny obrządek.

W srogi mróz, pewnego dnia przed Godami, stała Anna w izbie i zmywała naczynia; mróz trzeszczał w belkach, a za każdym razem, gdy Tyri albo Jo otwierali drzwi, do wnętrza wpadał przejmujący ziąb i kłęby pary. Johan pojechał tego dnia z Siwkiem do Orrmuttusjøen po drzewo. Kiedy wyruszyli, Anna współczuła im obu; śnieg skrzypiał pod płozami sań, a koniowi dymiło z chrap, gdy znikali za ogrodzeniem, kierując się na zachód.

– Nagle przeszedł nas dreszcz. Do sieni, potykając się, wpadł Johan, po czym okryty szronem i roztrzęsiony wtargnął do izby, wołając: „Koń wpadł do jeziora, biada nam teraz!”

Nie namyślając się ani chwili pochwyciłam siekiere i co tchu pognałam do odległego o dwa kilometry Orrmuttusjøen. Dobrą chwilę potem nadbiegł zadyszany i roztrzęsiony Johan. Jak tylko mógł, usiłował wyciągnąć konia, który niedaleko od brzegu wpadł do jeziora i stał teraz

zanurzony w wodzie po grzbiet. Próbowaliśmy wydostać jego kopyta na brzeg lodu, lecz za każdym razem, kiedy już udało mi się tego dokonać, koń cofał się gwałtownie. Staraliśmy się również ciągnąć z całych sił za uprzęż – wszystko jednak nadaremnie. Oboje z Johanem straciliśmy niemal głowę, a tylko Siwek stał dziwnie spokojnie w tej lodowatej wodzie. „Polecę do Sømådalen zawołać pomocy, a ty rób tutaj, co możesz”, powiedziałam do Johana.

Tego zimowego dnia, biegnąc do Sømådalen po ratunek, nie żałowałam nóg. Nie wcześniej jednak niż dopiero o jedenastej w nocy udało się ludziom wyciągnąć Siwka z wody. Widząc wreszcie konia na lodzie, Johan, ja i reszta odetchnęliśmy z ulgą. Lecz kiedy Siwek leżał bezwładnie i nie dawał znaku życia, ogarnął nas znowu lęk. A więc nie na wiele zdały się wszystkie starania, bez konia będziemy skazani w Haugsetvolden na jeszcze większą biedę. Jedyne Martin Langsjøen z Sømådalen nie stracił nadziei i od razu zabrał się do masażu, koń potrzebował bowiem ciepła, by nie zeszywnieć zupełnie. A kiedy wydawało się, że nic już nie pomoże, nastąpiła wielka niespodzianka – Siwek wstał nagle i o własnych siłach powlókł się ku brzegowi.

Oboje z Johanem odczuwaliśmy długo potem przykre skutki tego zdarzenia. Po wielogodzinnym chlapaniu się w lodowatej wodzie na dłoniach porobiły się nam ogromne pęcherze. Mieliśmy podmrażane ręce – nasze rękawice były sztywne jak kawałki kory. Johanowi ręce nie wydobrały już nigdy całkiem po tym odmrożeniu, a ja na jakiś czas straciłam czucie w stopach po wielogodzinnym staniu w gumowych butach, pełnych lodowatej wody. Lecz o takich sprawach nie mówiło się nigdy w Haugsetvolden, gdy ktoś wspominał tamto zdarzenie na Orrmuttusjøen. Ja żartowałam tylko na swój sposób, mówiąc, że tamtej nocy, gdy wyciągaliśmy Siwka z jeziora, przydzwigałam do domu dużo lodu i dodawałam zawsze, że moje spódnice stały same na podłodze na

kształt beczki!

Jeszcze do niedawna na ścianie spichlerza w Haugsetvolden wisiała czaszka niedźwiedzia, który sto lat temu zastrzelony został w pobliskich górach, i Anna często była świadkiem, jak Jo opowiadał o tym.

Wydarzyło się to około świętego Jana. Per Bolstad, młody chłopak z Rendalen, podązał przez góry do Haugsetvolden, bo tutaj, w Istersjøen, miał prawo połowu. Wędrował w pojedynkę, i jak to bywało w zwyczaju ludzi udających się w góry, miał przy sobie strzelbę. Nie zamierzał jednak polować, cieszył się za to nadzieją na dużą rybę w Istersjøen. Należał do typu ludzi, którzy kochają samotną włóczęgę po górach – wieczory w szałasie rybackim, świeżo złowiony pstrąg na śniadanie, oto co ciągnęło go tutaj na pustkowie.

Koło Pulltjønna, trzy kilometry od Haugsetvolden, zastąpiła mu nagle drogę niedźwiedzica z dwoma młodymi. Młodzieniec działał szybko, wiedział bowiem, że nie ma sekundy do stracenia. Od starych, doświadczonych ludzi słyszał zawsze, że spotkanie niedźwiedzicy z małymi, to śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wahając się więc ani przez chwilę, wycelował i wypalił, po czym natychmiast wziął nogi za pas. Nie śmiał obejrzeć się nawet, by stwierdzić, czy trafił. Obawiał się, że jeśli niedźwiedzica była tylko ranna, to w każdej, chwili mógł poczuć jej pazury na karku.

Co tchu przybiegł do Haugsetvolden i napotkawszy Jo, poprosił o strzelbę na grubego zwierza. Lecz Jo Haugsetvolden nie posiadał w tym czasie żadnej strzelby. Wsiedli więc obaj do łodzi i wiosłując około dwunastu kilometrów przez Istersjøen dotarli do Saeteråsen, gdzie wreszcie od Andreasa Haugena pożyczycyli sztucer.

Jeszcze tego samego dnia obaj przejęci myśliwi z pożyczoną strzelbą ruszyli w góry, na zachód, w stronę Pulltjønna. Podniecenie minęło jednak szybko, okazało się bowiem, że niedźwiedzica padła w miejscu, gdzie

Per Bolstad wypalił ze swojej króciicy. Stwierdzili też, że musiała żyć jeszcze jakiś czas po wystrzale, bo zdążyła usłać sobie z mchu i wrzosów legowisko, w którym znaleźli ją martwą.

Opowiadając tę historię, Jo Haugsetvolden dodawał zawsze, że tuż przed ich nadejściem młode były u matki i wysały resztę pokarmu. Jo z młodzieńcem oprawili zwierza na miejscu, a mięso znieśli do Haugsetvolden, czaszkę zaś powiesił Jo na ścianie spichlerza. Wisiała tam przez blisko sto lat, do chwili gdy Norsk Skogbruksmuseum [1] otrzymała ją w darze i gdzie przechowywana jest jako pamiątka z czasów, kiedy w lasach koło Haugsetvolden żyły niedźwiedzie.

Łowienie ryb i udział w polowaniu należały do najbardziej oczywistych zajęć Anny. Najczęściej przebywała w górach lub na jeziorze razem z Johanem, zimą jednak wyruszała sama zakładać sidła na pardwy.

Wiosna była dla Anny najmilszą porą. Na lodzie jeziora dały się stada cietrzewi, walcząc zaciekle, aż furczały pióra. A kiedy nadchodził okres wiosennych toków, Anna i Johan wstawali wcześniej i z kocią zręcznością podkradali się wzdłuż brzegu jeziora tak blisko do tokujących cietrzewi, jak tylko się dało, z zapartym tchem patrząc na to przedziwne widowisko.

– Przez cały rok czekałam na te wiosenne poranki i to nie tylko na podglądanie cietrzewi. Po przymarzniętym śniegu udawaliśmy się z Johanem na nartach w las, ku Gløføken, do miejsca, gdzie co roku tokowały głuszce – tej okazji nigdy nie chciałam przegapić. Jechaliśmy tam tylko po to, aby je podziwiać, ani razu nie przyszło nam do głowy, żeby zabrać strzelbę. Najpiękniej bywało o świcie, gdy w oddali słońce

[1] Norweskie Muzeum Gospodarki Leśnej (przyp. tłum.).

opromieniało szczyty gór, a tu, przed nami, odbywał się zapamiętały i gwałtowny taniec miłosny. Uważałam wtedy, że taniec i życie toczą się tak, jak powinny.

Lubiłam również samotne, zimowe wyprawy na pardwy. Miałam w okolicy prawie dwadzieścia takich miejsc, gdzie zastawiałam sidła i co drugi dzień objeżdżałam je, by sprawdzić, czy coś wpadło. Zapuszczałam się wtedy głęboko w góry i za każdym razem przynosiłam od pięciu do dziesięciu pardw. Mimo że okolica obfitowała w ptactwo, nigdy nie jadło się pardw w Haugsetvolden, stanowiły one zbyt wykwintne pożywienie dla nas. A że łatwo było je sprzedać na targu – zabieraliśmy wszystkie, udając się z towarem do Røros. Natomiast jajka dzikiej kaczki, które podbierałam na przełomie maja i czerwca, jadaliśmy często. Ze starych, dziurawych pni sosny robiłam dłubanki i rozwieszałam wokół na drzwiach, a w kilka dni później wdrapywałam się tam, by do nich zajrzeć. Tym sposobem w ciągu niewielu dni potrafiłam zebrać czasami osiemdziesiąt cztery kaczki jajka. Johan natomiast trudnił się niemało zastawianiem potrzasku, w którym znajdowaliśmy czasami jastrzębia, sokoła, sowę albo nawet puchacza.

Połowy ryb przynosiły zagrodzie stosunkowo niezły dochód, więc i tu pomagała Anna, jak mogła. Sezon jesienny, który rozpoczynał się dwudziestego piątego października, trwał aż do Bożego Narodzenia i należał do najcięższych. Anna i Johan łowili nierzadko przez czternaście dni bez przerwy, najpierw w pobliżu Haugsetvolden, potem dalej na północ, koło Elvålsvollen. Dla Anny oznaczało to dodatkowy wysiłek, ponieważ oprócz ciężkiej pracy na jeziorze przy połowie siei musiała się jeszcze troszczyć o dobytek i starców w Haugsetvolden. Codziennie rano i wieczorem przemierzała na nartach drogę między zagrodą i starą rybaczkówką.

– Gdy wypływaliśmy o świcie na jezioro, wiosłowałam, zapuszczając równocześnie sieci. Późną jesienią pogoda bywa zmienna i obrzydliwa, nieraz fala zalewała mnie, rzucając łodzią raz w górę, raz w dół, tak że tańczyliśmy jak korek na powierzchni spienionego morza. Wiosłowanie po wzburzonym Istersjøen wymagało dużego wysiłku, lecz był to również jedyny sposób, żeby się rozgrzać. Gdy przemoczona do suchej nitki przybijałam do brzegu w Elvålsvollen, nie było czasu na zmianę odzieży, najpierw musiałam wypatroszyć ryby – dzienny połów przynosił zwykle osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu siei. A po skończonej robocie zarzucałam na ramię sporą wiązkę ryb i ruszałam ku Haugsetvolden. W drodze starałam się zająć czymś myśli, i to najchętniej czymś przyjemnym, myślałam więc wtedy o zwierzętach czekających na mnie w zagrodzie. Byłam do nich w szczególny sposób przywiązana i cieszyłam się na chwilę, kiedy otworzę drzwi obory i gdy ze wszystkich przegród powita mnie przyjazne porykiwanie, w którym odnajdywałam ciepło, spokój i nieopisane poczucie bezpieczeństwa.

To, że potrafiłam manewrować łodzią, przydawało się nie tylko podczas połowów. Wczesną wiosną, jak tylko lód stopniał i wiosłując można było przeprawić się na drugą stronę Istersjøen, przewoziłam nawóz z Haugsetvolden do Digerneset. W Haugsetvolden grunt był zbyt narażony na przymrozki, aby można tu było uprawiać ziemniaki, dlatego też sadziliśmy je na wschodnim brzegu. Już w roku 1875 Mikkil Nilsen Sømåen zorał niewielki kawałek ziemi w Digerneset, a potem jeszcze trzy poletka uprawiali ludzie z Haugsetvolden, w czym ja również miałam swój udział.

Nawóz upychałam do parcianych worków i taszczyłam w dół, do łodzi. Za każdym razem zabierałam dziesięć worków – przejazd w jedną stronę trwał pół godziny. Koło Digerneset ściągałam nawóz na brzeg i na plecach niosłam go do redlin. Ziemniaki też przywoziłam łodzią, w

skrzynkach. Sadząc je potem w tę jałową ziemię, podsypywałam nawozu i dobrze okrywałam ziemię. Zrobiwszy, co do mnie należało, resztę polecałam opiece boskiej.

A potem przychodziła jesień. Dni, kiedy jechałam do Digerneset kopać ziemniaki, różniły się od innych. Zbierałam plony, a kiedy widziałam, że mój wysiłek nie poszedł na marne, pracowałam jeszcze bardziej ochotczo.

Gdy zaś pod wieczór wracałam do Haugsetvolden ze świeżo ukopanymi ziemniakami w skrzynkach, ustawionych jedna na drugiej na dnie łodzi, wiosłowałam rażno i miałam niemal ochotę objechać z paradą całe jezioro dokoła, tak aby niebo nade mną i świat wokół mnie mogły podziwiać moje bogactwo. Miałam poczucie, że ciężka praca wiosną opłaciła się sowicie, byłam szczęśliwa i wdzięczna Bogu.

Ole-Johan z Haugsetvolden, nazywany przez wszystkich Starym Johanem, był przyrodnim bratem Jo i uchodził za największego oryginała w całej okolicy. Od kiedy w 1902 roku nabył sobie prawo połowów w jeziorze i sklecił niewielką chatynkę tuż nad brzegiem, nie miał właściwie nic wspólnego z zagrodą Haugsetvolden. Przez wiele lat mieszkał samotnie w nieopisanie brudnej izdebce, a na cały niemal jego dobytek składały się łóżko, piec kuchenny, mały stolik i szafa. Czajnik z kawą stał wiecznie na kominie, nóż i łyżka tkwiły w szparze ściany, na kołkach suszyły się ciężkie sieci, a w kącie drzemała na wpół zardzewiała maszyna do szycia. Okienka były małe i zarosłe brudem, na parapetach leżały stopy zdechłych much, a światło przenikające do izby miało przytłumiony, szarawy odcień. Stary Johan był samowystarczalny, nigdy nie załamywał rąk w potrzebie, lecz doskonale radził sobie w każdej sytuacji, żyjąc w samotności na pustkowiu.

Niełatwo było go podejść. Przybyszów witał podejrzliwie i z niechęcią

– zawsze chadzał własnymi drogami i najchętniej wolał być sam. Nie lubił mieć świadków, gdy spychał łódź na wodę i gdy zakładał sieci, żył w zespoleniu z przyrodą i nie znosił, by mu zakłócano ten rytm; znalazł tu swój własny styl życia i nie życzył sobie, by mu ktoś obcy wchodził w drogę.

Lecz Anna zdobyła zaufanie starego. Ją jedną wpuszczał do izby i chociaż wiedziała, że spotka się z odmową, próbowała zawsze zaofiarować swą pomoc.

– Życie Starego Johana w rybaczówece na Istersjøen miało w sobie coś niezwykłego. Mam tu na myśli nie tylko, jego surowy styl życia, lecz przede wszystkim nadzwyczajną zaradność. Johan był mistrzem w naprawianiu sieci; aby sprawniej ucinać niepotrzebnie zwisające sznurki, przywiązywał sobie kozik do wskazującego palca prawej ręki. Często podśpiewywał sobie przy tej robocie, miał czysty, przyjemny głos, a do jego ulubionego repertuaru należały pieśni o Gjest Bårdsenie [2].

Stary Johan, ze zwichrzonymi, potarganymi włosami i długą, rozwianą brodą sam był sobie krawcem. Chadzał przeważnie w grubej, samodziiałowej odzieży i w płaszczu na wyrost, który uszył sobie z własnoręcznie pofarbowanych worków od mąki. Sięgająca za kolana kapota z niebieskofioletowymi zaciekami wisiała na nim sztywno jak zbroja, nogi spowijał w onuce wykrojone z parcianych worków, a szyję okręcał takąż parcianą opaską. Czapkę sporządził sobie w ten sposób, że z resztek starych szmat uszył coś w rodzaju torby i naciągał to na głowę. Na brzegach koło uszu ponaszywał skrawki kozucha z przyczepioną tasiemką, i gdy w zimowe czy jesienne dni wyruszał na połów, związywał

[2] Gjest Bårdsen (1791–1849), norweski zbójnik, otoczony legendą podobną do Janosikowej. (przyp. tłum.).

końce tasienki pod brodą w mocny supeł. Sprawiał wtedy wrażenie surowego i nieprzystępnego.

Stary Johan nigdy nie kupował odzieży ani butów. Na targu w Røros wymieniał ryby na skórę i rzemienie, a potem w domu sam szył sobie buty, które nie wychodziły mu tak, jak trzeba i kształtem nie bardzo przypominały prawdziwe obuwie, lecz jego zdaniem były w sam raz. Nie miało znaczenia, czy buty będą wygodne, wystarczało mu, że miał coś ciepłego na nogach. Najcieńszą skórę zszywał na maszynie, lecz szybko tracił ciepłość, gdy złaamała się igła i maszyna odmawiała posłuszeństwa. Kończył wtedy szycie w ręku, ściegi bywały krzywe i nie zawsze schodziły się tam, gdzie trzeba, lecz Stary Johan i tak był zadowolony. Z płótna szył też sobie kalesony i koszule, a że posiadał niewiele bielizny, nosił ją, nie piorąc przez dłuższy czas; kiedy jednak pomyślał o praniu, wtedy zabierał się gruntownie do dzieła. Nie wygotowywał ługu z popiołu, jak to było we zwyczaju w tamtych czasach, lecz wrzucał popiół razem z bielizną do jednego kotła i gotował długo, a następnie szedł nad jezioro i zabierał się do płukania. Po takich zabiegach bielizna Starego Johana nie odyskiwała już nigdy pierwotnej białości – popiół wżerał się na dobre w płótno i nadawał mu trwałą, ciemnoszarą barwę.

Podczas wypraw do Røros nabywał też Johan w handlu wymiennym wełnę. Miał w swej chacie kołowrotek i nieraz zastawałam go przy przedzeniu lub gręplowaniu wełny. W mroku, jaki panował w jego izbie, niełatwo było wysnuć cieką nić, lecz Stary Johan i temu podołał. Często, gdy tak siedział pochylony nad kołowrotkiem i ciężką stopą naciskał pedał, obawiałam się, że wkręci sobie brodę do przędzy. A kiedy przedzenie było ukończone, szły w robotę druty. Stary Johan wyrabiał sobie sam skarpety i pończochy, trudności zaczynały się dopiero, gdy doszedł do pięty – przychodził wtedy do mnie z prośbą o pomoc, ale gdy tylko pięta była gotowa, przejmował robotę z powrotem.

Stary Johan nosił zazwyczaj spodnie uszyte według własnego pomysłu i wykroju. Były to spodnie z klapą, jak sam mawiał – rozcięte z przodu, z naszytą na wierzch łąką; zdaniem Starego Johana było to proste i wygodne rozwiązanie. Przyszywaniem guzików do spodni też nigdy sobie nie zawracał głowy, przecinał tylko dziurkę nożem, przekładał przez nią szelki i zatykał kawałkiem patyka, a gdy zgubił taką zatyczkę, wystrugiwał sobie natychmiast nową z najbliższej gałęzi. Nie przyszło mu również do głowy, żeby pobudować ustęp – za swoją potrzebą chadzał po prostu w pole.

Często bałam się o niego i byłam święcie przekonana, że przyjdzie mu dokonać żywota na jeziorze. Należał do ryzykantów, i my, którzy znaleźmy go dobrze, przepowiadaliśmy, że kiedyś zginie podczas sztormu, albo wypadnie z łodzi. Stary Johan nie dbał o życie, miał zwyczaj wyruszać z sieciami na połów w takie dni, kiedy uchodziło to za jawne szaleństwo. Można było odnieść wrażenie, że niepogodę przyjmował tylko jako wyzwanie i nieraz widziałam, jak wracając z połowu z Istersjøen, wysmagany deszczem i zawieją, prawie że na czworakach włókł się do chaty.

We wszystkim dawał sobie radę sam, nawet przy łowieniu włókiem – jeden koniec sieci mocował na brzegu, a trzymając drugi, wiosłował, zataczając wielkie półkole i ciągnąc za sobą sieć do brzegu – kłął przy tym lub mruczał zadowolony, zależnie od tego, jak udany był połów.

Stary Johan miał własne nawyki i obyczaje. Z nabytej w Røros pszennej mąki rozmącał coś w rodzaju papki i bieleł tym komin w izbie. Wystawiał też mąkę dla szczurów i bywało, że szczirom przypadają większe porcje niż te, które sobie wydzielał – Johan był skąpy i miał zwyczaj umartwiać się na różne sposoby.

Któregoś lata zauważyłam, że zachowuje się dosyć dziwnie, narzekał na ból w stopie, lecz nie chciał nigdy powiedzieć, co mu się stało. Gdy

pytałam go o nogę, zamykał się od razu w sobie i patrzył na mnie z przestraczem – nie ulegało wątpliwości, że najchętniej zmieniłby temat. Czułam, co się święci, wiedziałam, że Stary Johan bał się śmiertelnie ukąszenia żmii. Był przekonany, że węże są bardzo niebezpieczne dla człowieka i wierzył, że prześladują go na każdym kroku. Dochodziło do tego, że we wszystkim, czego dotknął, dopatrywał się jadu żmii. Nieraz próbowałam zagadnąć go na ten temat, lecz milkł natychmiast, patrząc na mnie przerażonym wzrokiem.

Wyraźnie widziałam, że ze Starym Johanem dzieje się coś niedobrego. Stopa dolegała mu coraz bardziej, widziałam, jak kuśtykał dookoła swej lepianki nad brzegiem. Był zmieniony i sprawiał wrażenie zrezygnowanego. Nie chciał nic jeść – chociaż częstowałam go i mlekiem, i chlebem, odmawiał zdecydowanie, tak jakby postanowił zagłodzić się na śmierć. „Teraz straciłem już i głowę, i nogi”, powiedział jakby żartem, lecz ja wiedziałam, że to nie był żart. Pokiwał głową i wydawało się, że chciał być sam ze swoim cierpieniem.

Pewnego wieczora udałam się do chaty Starego Johana, nie miałam bowiem sumienia patrzeć beczynn timer, jak ten samotny dziwak się męczy. Gdy weszłam, leżał na ławie koło pieca, jak zwykle w wierzchniej odzieży, którą zawsze miał na sobie dzień i noc, zima czy lato, w poplamionych, sztywnych od brudu spodniach, z szarą od popiołu poduszką pod głową.

Wiedziałam, że cierpiął teraz bardzo, miał gorączkę i dreszcze, narzekał też na ogromny ból. Był zgaszony i smutny, aż żalność brała patrzeć, siedziałam przy nim w milczeniu, wiedziałam, że tylko cierpliwością mogę coś zdziałać. Po jakimś czasie, kiedy wydawało mi się, że jest trochę spokojniejszy, odważyłam się spytać: „Pokażesz mi chorą nogę, Johanie?”

Nie odpowiedział od razu, a dopiero po chwili wyznał cicho, z rozpaczą w głosie: „Wąż mnie ukąsił, tam koło drewni”.

Nie padło więcej słów. Cicho wyszłam z izby, wiedząc już, co trzeba uczynić. Udałam się prosto do zagrody i opowiedziałam Jo, że starego ukąsiła żmija. Jo, nie zwlekając, zarzucił na plecy worek, wziął z pieńka siekierę i ruszył w góry ku Borrffjellet, gdzie rosły sękaty, pokurczone sosny o twardej i grubej korze. Gdy wrócił z pełnym workiem, ugotowaliśmy z kory garnek mocnego wywaru, który przelałam do wiadra i zniosłam do chaty Starego Johana. Jo nie zaproponował nawet, że pójdzie ze mną, wiedział dobrze, że tylko ja miałam teraz prawo wstępu.

Widząc mnie z wiadrem, Stary Johan pokiwał przyzwalająco głową, pojął od razu, z jakim to lekarstwem przychodzę – ślepo wierzył, że jedynie wywar z kory sosnowej może mu uratować życie. Noga wyglądała okropnie, mieniła się wszystkimi kolorami i opuchnięta była jak bania.

Starannie obmyłam chorą nogę w wywarze z kory, a wychodząc z chaty, dostrzegłam w oczach starego błysk wdzięczności... Po kilku dniach nastąpiła poprawa. Stary Johan nie wspominał jednak potem nikomu o ukąszeniu żmii.

W ostatnim roku przed śmiercią, a był to, pamiętam, rok 1936, potrzebował Stary Johan opieki i pomocy. Nie dopuszczał jednak do siebie nikogo oprócz mnie – chciał być sam w swoim brudzie i zapuszczeniu, do jakiego przywykł. Pewnego razu, kiedy jechałam do miasta, poprosił mnie, aby z banku w Røros, gdzie trzymał swoje oszczędności, wyjąć mu trochę pieniędzy. Suma, o którą prosił, była jednak tak mała, że na własną rękę zdecydowałam wziąć sto koron więcej. Wydawało mi się, że zwłaszcza teraz, kiedy stawał się coraz bardziej słaby i chory, powinien mieć przy sobie trochę grosza – do miasta jeździło się bowiem od nas nieczęsto.

Lecz staremu nie podobało się to, że podjęłam więcej pieniędzy, niż prosił. Jego zdaniem, było to z mojej strony wielkie nadużycie, które on musiał teraz naprawić, nie chciał bowiem trzymać w swej chacie tak

wielkiej sumy, jak sto koron.

Parę dni potem, pod wieczór, zobaczyłam, jak w swoim długim paltocie, okręcony w szmaty, utykając mijał Haugsetvolden i zniknął między pniami sosen, kierując się na zachód. Postanowił iść pieszo przeszło czterdzieści kilometrów przez góry do Rendalen, aby włożyć sto koron z powrotem do banku.

Nie uszedł jednak dalej niż do Brenna, cztery kilometry od Haugsetvolden, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Był tak zmęczony, że nie miał nawet siły, by wrócić do domu, rozpalił więc w lesie ognisko i tu spędził noc, leżąc przy ogniu pod wielką sosną.

Na drugi dzień przywłókł się resztkami sił do chaty, szedł tylko w onucach, ponieważ buty, które zdjął na noc i postawił blisko ognia, spaliły mu się do szczytu – rano znalazł je obok żagwi poskręcane i czarne jak kawałki kory.

Były to ostatnie buty, jakie Stary Johan nosił w swoim życiu. Trawiony chorobą słabł coraz bardziej, a gdy wójt, lekarz i pastor próbowali zabrać go z brudu i nędzy, w jakiej żył, stary kazał im, żeby sobie poszli. Stwierdził, że jeśli dawał sobie do tej pory radę w życiu, to i ze śmiercią też upora się sam. A gdy przyjdzie ostatnia chwila, miałam siedzieć przy nim do końca, obiecałam to Staremu Johanowi.

Ostatnie trzy doby przed śmiercią czuwałam przy nim przez cały czas. Cierpiał ogromnie, krzyczał z bólu, rzucając się na łóżku i bardzo był już osłabiony. W momencie, gdy ból na chwilę się zmniejszył, zwrócił się do mnie z prośbą, by mu poczytać i pośpiewać.

Pojełam wtedy, że Stary Johan już gotuje się do ostatniej drogi. Śpiewać nie potrafiłam, wiedziałam natomiast, że prosząc o czytanie, miał na myśli słowa Biblii.

Kiedy znalazłam w szufladzie Nowy Testament, Johan poprosił, aby mu przeczytać od słów: „Albowiem Bóg tak umiłował świat, że zesłał

Syna swego na ziemię.”

Widać było, że słowa te przyniosły Staremu Johanowi ulgę. Chciał też coś powiedzieć, lecz nie mógł wydobyć głosu, wreszcie zebrawszy się w sobie odezwał się cicho: „Zbliża się pora rozstania, Anno, niedługo nie będzie mnie tutaj, gdyby nie to, odwdzieczyłbym ci się jakoś za twoją dobroć dla mnie...”

Tu zwierzył mi swoją ostatnią wolę, w której pomyślał o nędzarzach, takich samych jak on.

Niedługo potem do drzwi zapukał Jo Sømåen, który dowiedziawszy się o chorobie Starego Johana, przywędrował do rybacówki nad Istersjøen aż z Sømådalen, aby śpiewać przy łożu umierającego psalmy. Staremu Johanowi sprawiło to radość. Pobożny Jo Sømåen, siedząc w mrocznej izbie, z wiarą w głosie intonował psalm za psalmem, podczas gdy fala uderzała o brzeg i łódź stojącą u brzegu. Była to uroczysta chwila dla nas wszystkich.

Wreszcie nadeszła noc, najgorsza ze wszystkich, a dla Starego Johana ostatnia. Nie odstępowałam go ani na chwilę, ponieważ bóle przybierały na sile. „Nie wytrzymam dłużej, Anno – powiedział nagle wyciągając rękę – podaj mi moją strzelbę”.

Udałam, że nie słyszę, a tylko siadłszy na krawędzi łóżka, objęłam jego głowę ramieniem – wkrótce potem skonał. „Tak, tak” – to było ostatnie, co powiedział i miałam wrażenie, że tymi słowami godził się ze śmiercią, która wyzwoliła go od cierpienia.

Ułożyłam zmarłego na łóżku, zamknęłam mu oczy i odmówiwszy ojczenasz wyszłam z chaty. Była spokojna noc, tylko woda szemrała cicho, a łódź Starego Johana spoczywała wyciągnięta na brzeg. Czulałam, że wszystko jest, jak być powinno.

Pogrzeb Starego Johana odbył się w wigilię Zielonych Świątek. Jadąc po trumnę do Gløtberget, Anna i Johan wiosłowali na zmianę, ciszej niż zwykle, niewiele słów zamieniając na przestrzeni tych szesnastu kilometrów.

W dzień pogrzebu ustawiono trumnę przed chatą. Było ciepło i słonecznie, a od drzew dolatywał zapach żywicy. Gromadka odświętnie ubranych, poważnych ludzi z Øversjødalen i z Sømådalen zebrała się, by pożegnać zmarłego. Wieko trumny pokrywały wieńce, a pastor z Engerdalen mówił o samotnym człowieku, który odszedł z lepianki nad jeziorem, opuszczając ziemski padół. Potem trumnę zaniesiono do brzegu i ustawiono w łodzi.

Anna siedziała przy trumnie, Jo i Johan wiosłowali, kilka łodzi towarzyszyło im w orszaku. Trumna i wieńce przeglądały się w spokojnej, błękitnej tafli jeziora, a powiódłszy wzrokiem na zachód, ku góróm, Anna uprzytomniła sobie, że właśnie tam, w Øversjødalen, przyszedł kiedyś na świat człowiek, którego nazwano potem Starym Johanem. Jego matka, Lavrensa, mieszkająca w niewielkiej chatce koło Haugsetvolden, wybrała się pewnego lutowego dnia pieszo przez góry, by dotrzeć do akuszerki i odbyć poród, a w kilka dni potem wróciła na nartach z niemowlęciem w plecaku. Siedząc teraz w płynącej przez Istersjøen łodzi przy kołyszącej się miarowo w rytm wiosła trumnie Starego Johana, ogarniała Anna wzrokiem okolice, bezkresne królestwo lasów i gór, z którym Stary Johan czuł się nieodłącznie związany i gdzie spędził całe swoje życie. Czekająca na nadejście lata, skąpana w słońcu puszcza żegnała teraz pięknie starego.

Po przebyciu sześciu kilometrów łódź przybiła do brzegu w Sømådalen. W tamtych czasach nie było jeszcze kościoła, a tylko wieża dzwonnicy wznosiła się wśród sosen. Knut Nordigarden Jota uderzył w dzwony i przy ich dźwięku spuszczone trumnę do grobu.

Po śmierci Starego Johana życie w Haugsetvolden potoczyło się dawnym trybem. Ani Tyri, ani Jo czy Johan nie zauważyli zmiany – niewiele mieli do czynienia z dziwakiem mieszkającym w lepiance u brzegu. Lecz Anna, spoglądając ku rybaczówe, odczuwała pewną pustkę, gdy z komina nie unosił się dym i nie widać było starca krzątającego się z drzewem na opał lub z sieciami pod pachą.

Lecz i Anna dosyć miała kłopotów na co dzień. Tyri i Jo postarzelisi ostatnimi czasy, zwłaszcza widać to było po Tyri, której grzbiet wygiął się w pałąk, a nogi odmawiały coraz bardziej posłuszeństwa. Poruszając się po izbie wysuwała najpierw lewą nogę do przodu, a potem dociągała prawą, szurając parcianymi spódnicami. Nie tylko jednak grzbiet i nogi Tyri nosiły ślady ciężkiej pracy i twardego żywota, również jej twarz naznaczył niełaskawy los trwałym piętnem. Pewnego razu, na szalaszach, potknąwszy się o korzeń sosny upadła na twarz, kalecząc się brzydko tuż nad okiem. Rana była poważna, lecz Tyri za nic w świecie nie chciała szukać pomocy lekarza i skaleczenie zagoiło się samo, w wyniku czego Tyri do końca życia miała powiekę zwisającą martwo na policzek.

Od pierwszego dnia w Haugsetvolden zdała sobie Anna sprawę, że najlepiej było podporządkować się bez szemrania rządóm Tyri, która nie życzyła sobie żadnych ulepszeń ani zmian w dotychczasowym trybie życia. Tyri miała swoje przekonania i nawyki, których nie wolno było naruszać, jej wola była w Haugsetvolden prawem.

Piętnasty lutego 1939 roku był zwyczajnym, zimowym dniem, takim, jak wiele innych w Haugsetvolden. Słupy dymu unosiły się z kominów prosto w niebo, a siarczysty mróz trzaskał w ścianach z sosnowych bali. Anna zajęta była obrządkiem bydła w oborze, gdy nagle drzwi otwarły się z łoskotem i błady z przerażenia Johan wpadł bez nakrycia głowy, wołając:

„Pospiesz się Anno, matka jest śmiertelnie chora...”

Gdy weszłam do izby, zastałam Tyri skurczoną i wspartą o framugę okna. Ciałem jej wstrząsały dreszcze, twarz była śmiertelnie blada. Nie mogła ruszyć się z miejsca i nie dawała się dotknąć, narzekała przy tym na okropne rwanie w nodze i w krzyżu. Ból był tak wielki, że nie pozwalała się poruszyć, coś jednak trzeba było uczynić, więc mimo krzyków i lamentu ułożyliśmy ją do łóżka. Nazajutrz, unosząc jedną powiekę, spojrzała na mnie nieco łagodniej niż zwykle i powiedziała: „Sparaliżowało mnie Anno”.

Była to prawda. Od tej pory aż do końca życia leżała w łóżku i musiałam doglądać jej przez całe pięć lat. Gdy czuła się trochę lepiej, siadywała zgarbiona na brzegu łóżka z przekrzywioną głową, robiąc wrażenie najbezradniejszej istoty na świecie. Trzeba ją było pielęgnować jak dziecko i nie zawsze dała się łatwo pocieszyć, gdy przyszło przygnębienie. W takiej sytuacji nawet drobiazg może nabrać szczególnego znaczenia. Dla sparaliżowanej Tyri pociechą w ostatnich latach życia był kot, który mruczając wylegiwał się w jej ramionach, a ręka Tyri wędrując łagodnie i spokojnie godzinami potrafiła gładzić miękkie futro. Jeśli ktoś obcy próbował zbliżyć się do Tyri, kot jeżył sierść i gotów był rzucić się z pazurami na przybysza. Widząc to Tyri uśmiechała się zawsze – wiedziała, że nie jest jeszcze całkiem bezbronna.

Byłam przy Tyri, gdy umierała, prosiła, by siedzieć przy niej i trzymać ją za rękę. Przez całą noc nie wyrzekłyśmy ani słowa, siedziałam tylko obok niej, trzymając jej dłoń w mojej i myślałam o tym, jak konał Stary Johan osiem lat temu. Wtedy za oknami stała łagodna, letnia noc, teraz styczniowy mróz ciągnął od okien i wdzierał się wszystkimi szparami do izby. Tyri leżała spokojnie, a ja wsłuchiwałam się w monotonne tykanie zegara, licząc uderzenia za każdym razem, gdy wybijał godzinę. Od płonących na kominie polan dolatywał przyjemny zapach palonej kory

brzozowej, przez wychodzące na wschód okno widziałam kilka gwiazd świecących nad Bjønnberget. Wydawało się, że czas stanął.

W pewnej chwili dłoń Tyri zwiotczała w mojej. Nie czując uścisku, pojęłam, że nie potrzebowałam już dłużej mojej podpory. Bezwładna ręka spoczywała spokojnie na pierzynie, a otwarta dłoń zwrócona była, zdawało się, ku czemuś, czego nie należało zakłócać. Dzięki Bogu miała Tyri łagodną śmierć, dosyć namęczyła się przecież w życiu.

Nie mieliśmy żadnych możliwości, by sprowadzić trumnę dla Tyri, z pomocą przyszedł nam dopiero Martin Langsjøen z Sømådalén, który podjął się roboty. Tymczasem ułożyliśmy nieboszczkę w letnim domku, dokąd przychodziłam często, by popatrzeć na nią, było to dla mnie najnaturalniejszą rzeczą w świecie. Jednemu tylko nie mogłam się nadziwić: ciało Tyri pokurczone i zdeformowane za życia leżało teraz zupełnie wyprostowane. Taką na zawsze pozostała w mojej pamięci.

Gdy trumna była gotowa, ustawiliśmy Tyri w oborze, między bydłem. Może się to wydać komuś dziwne, lecz my uważaliśmy, że tak należało postąpić. Dopóki bowiem Tyri była czynna, najwięcej czasu poświęcała pracy w oborze.

Drugiego lutego 1944 roku odbył się pogrzeb. Był mroźny, zimowy dzień, a góry otaczające Haugsetvolden spoglądały surowo i groźnie – zupełnie tak, jak Tyri za życia. Trzeba jednak dodać, że ten surowy krajobraz miał w sobie również coś uroczystego i dostojnego.

Trumnę przeniesiono do izby, zebrała się też gromadka sąsiadów, którzy przyszli oddać Tyri ostatnią posługę. Mimo że był to czas wojny i biedy, ludzie przynieśli ze sobą zarówno wiktuały, jak i wieńce uplecone z gałązek brzozy i przybrane białymi kwiatami z bibułki. Pastor z Engerdalen znajdował się wtedy w obozie koncentracyjnym Gryni koło Oslo, tak więc modły nad ciałem Tyri odprawił wędrowny kaznodzieja, który przyszedł aż z Trysilu. Przy śpiewie psalmów trumnę przeniesiono

na sanie, którymi Johan sam powoził, wyprowadzając zwłoki matki z zagrody Haugsetvolden na miejsce wiecznego spoczynku w Sømådalen. Sześciu koniom, które jechały w orszaku, pozejmowano dzwonki – uważaliśmy, że ostatnia podróż Tyri powinna odbyć się w zupełnej ciszy.

Kaznodzieja dokonał również pochówku na cmentarzu w Sømådalen – nie byłam całkiem pewna, czy tak być powinno i myśl o tym męczyła mnie często. Żeby pozbyć się wyrzutów sumienia, udałam się pewnej sierpniowej niedzieli łodzią do Sømånøstra, aby porozmawiać z pastorem, który zapewnił mnie, że nie było w tym żadnego uchybienia. Kamień spadł mi z serca i nawet cieszyłam się teraz, że Tyri miała taki skromny pogrzeb, bez uroczystych nabożeństw i pastora, niepozorny, tak jak niepozorne i ciche było jej życie, podobne do życia pracowitej mrówki.

Od chwili zjawienia się w Haugsetvolden miała Anna poczucie, że Jo, który liczył sobie wtedy siedemdziesiąt cztery lata, rozumiał ją i był jej życzliwy. Nierzadko miał dla niej dobre słowo i nie omieszkał też przyjść z pomocą przy szczególnie ciężkiej pracy. Jo był roslym, barczystym góralem, którego zainteresowania nie ograniczały się li tylko do polowań, połowów i codziennych zajęć gospodarskich. Anna nie mogła się nadziwić, że Jo, który właściwie nigdy nie chodził do szkoły, prowadził dziennik, w którym notował drobne i wielkie wydarzenia z życia w Haugsetvolden i – o ile czasu starczało – lubił też czytywać książki.

Jo Haugsetvolden miał szczególnie ciężkie dzieciństwo i młodość. Razem z matką i ojczymem mieszkał przez lato w byle jak skleconym szałasie na polach Haugsetvolden, a gdy nadchodziła zima, wszyscy udawali się przez góry do Rendalen, wracając do szałasów nad Istersjøen, jak tylko śnieg stopniał na tyle, że można było przeprawić się przez góry. Zdarzało się również, że niejedną zimę spędzili na wysepce koło Hola w

Øversjødalen, gdzie mieszkali w starym szałasie pasterskim.

– Jo opowiadał mi nieraz o tamtych czasach. Ojczym był wałkoniem, często kazano więc chłopcu chodzić od wsi do wsi i żebrać na kawałek chleba. Lavrensa sprzedawała w okolicy własnej roboty podwiązki i siatki na włosy, a zimową porą wędrowała aż do Sømådalen, aby wymienić tam swoje wyroby na trochę pożywienia. Jo mówił mi, że oboje z matką biedowali bardzo, i nieraz, gdy kładli się spać, kiszki skręcały się im z głodu.

Najgorszy ze wszystkiego był jednak ślepy gniew ojczyma. Bywało, że Lavrensa uciekała z dzieckiem aż do Vedholmen, żeby przeczekać dzień lub dwa, zanim odważyła się przywiosłować z powrotem do domu. Pewnego dnia, podczas wypalania węgla drzewnego, zdarzyło się coś, czego Jo nigdy nie wybaczył ojczymowi. Mimo że Jo starał się jak mógł, ojczym osądził, że chłopak nie dosyć przykładał się do roboty i zbił go bardziej okrutnie, niż to czynił zazwyczaj. I choć Jo przywykł do bicia, uderzenia wiklinowej różgi tego dnia pozostawiły na długo piekące ślady nie tylko na grzbiecie chłopca, ale także w jego pamięci.

Jo opowiadał również o tym, co wywarło na nim wielkie wrażenie, gdy pierwszy raz w życiu przywędrował do Rendalen. Było to w 1865 roku i Jo liczył sobie wtedy jedenaście lat.

Pewien młodzieniec z Rendalen uśmiercił swoją matkę kwasem pruskim, ponieważ ta zabraniała mu ożenić się z dziewczyną, w której był zakochany. Jo przybył do Rendalen w dzień publicznej egzekucji. Na miejscu przestępstwa ustawiono szafot – dzisiaj jest tam boisko piłki nożnej w Elvål. Jo widział i szafot, i krwawą szmatę powiewającą na szafocie dla postrachu i przestrogi. Tłumy ludzi ściągnęły do Rendalen z okolicznych wsi na ten dzień i Jo słyszał, że wielu z tych, którzy

powchodzili na rosnące w pobliżu szafotu drzewa, aby móc stamtąd lepiej widzieć kata wykonującego swą powinność, zemdłało, spadając na ziemię. Za każdym razem, kiedy Jo siedząc w wieczornym mroku opowiadał tę okropną historię, przejmował mnie dreszcz i czułam, że jakiś ponury nastrój ogarniał izbę.

Jo bywał nieraz bardziej szczery w stosunku do mnie, niż mogłam tego oczekiwać. Ze swej strony nie tałam przed nim nigdy mojej smutnej przeszłości, może więc dlatego uważał, że powinnam również wiedzieć jak najwięcej o jego życiu.

W młodości przeżył wielki cios, gdy po przemierzeniu długiej i żmudnej drogi przez góry przybył do Rendalen na nauki przygotowujące do konfirmacji a pastor Buli nie zechciał go przyjąć, ponieważ szesnastoletni Jo zgłosił się na naukę z ósmiodniowym opóźnieniem. Pastor zbeształ Jo za spóźnienie, któremu biedny chłopak wcale nie był winien – to ojczym zatrzymał go w Haugsetvolden, potrzebując pomocy w gospodarstwie. Jo czuł się niesprawiedliwie potraktowany tego dnia, przygnębiony i smutny wracał do domu, przemierzając znów dziesiątki kilometrów górskiej drogi i dopiero następnego lata przystąpił do konfirmacji u pastora w Engerdalen.

Czytając historię Izaka Sellanrå z *Błogosławieństwa ziemi*, miałam poczucie, że Jo był właśnie takim typem. On też własnymi rękoma postawił w Haugsetvolden chatę, w której zamieszkał razem z matką. Istersjøen dostarczało im ryb, Lavrens a przędła len i plotła sieci, a Jo zbudował łądz. Następnie wykarczował i uprawił kawałek ziemi, postawił oborę i postarał się o bydło.

W roku 1891 Jo Haugsetvolden ożenił się z Tyri, wiodąc na pustkowiu wypełniony niesłychaną biedą i ciężką pracą żywot. Trudno wprost uwierzyć, że leżało w ludzkiej mocy przetrwanie na tym skalistym, jałowym odludziu jakim było Haugsetvolden.

Jo należał do ludzi przesądnych, a na każdą chorobę miał własne sposoby. Niezawodnym lekiem, jakiego używaliśmy przeciwko reumatyzmowi, było wygotowane mrowisko, najlepiej z dużą ilością żywicy. I Tyri, i ja kurowaliśmy się nieraz w ten sposób. Całe mrowisko zbierało się do worka i gotowało się z niego mocny wywar, w którym, po przelaniu do ceberka, moczyłyśmy nogi. Wywar musiał być tak gorący, aż unosiła się z niego para, którą należało wdychać. Moim zdaniem pomagało to zawsze. Za każdym razem czułam się po takiej kuracji lżejsza na całym ciele i łatwiej przychodziło mi oddychać. Przez okrągły rok stosowaliśmy w Haugsetvolden to lekarstwo jako lek przeciwko reumatyzmowi.

Pewnego razu, gdy Jo nabawił się zapalenia płuc, otrzymałam od niego polecenie, aby w żelaznym garnku rozgrzać gruboziarnistą sól, przesypać ją do torby, i tak gorącą, jak tylko możliwe, położyć mu na piersiach. Przez całą noc siedziałam przy łóżku chorego, zmieniając gorące okłady. Jo wierzył święcie w lecznicze właściwości wywaru z mrowiska i nagrzonej soli, pod warunkiem, że kuracja została przeprowadzona we właściwy sposób.

Krople eterowe też uchodziły w Haugsetvolden za doskonałe lekarstwo, popijaliśmy je więc od czasu do czasu prosto z butelki. Tylko bólem zębów nikt się zbytnio nie przejmował, mieszkańcy Haugsetvolden ze spokojem przyjmowali psucie się i wypadanie zębów, byli do tego przyzwyczajeni. Jo żywił natomiast paniczny lęk przed zrobieniem czegoś, co mogłoby się zemścić. Jeśli czuł, że powiedział coś, co mogło komuś zaszkodzić, ogarniał go strach, że ściągnie nieszczęście na Haugsetvolden.

Ja też wierzę, że to prawda, takie przekonania odziedziczyłam po mojej matce. „Złe słowo nie powinno nigdy paść z twoich ust, bo odpłaci ci się tylko złem”, uczyła mnie matka.

Jej przykazanie utkwilo mi na zawsze w pamięci i ilekroć o nim myślałam, przypominała mi się również opowiadana przez matkę

przypowieść: „Wędrując po ziemi napotkał raz Jezus kobietę, która prała koszule. – Widzę, że pierzesz koszule – powiedział Jezus. – Ee, tam, to takie szmaty – odparła kobieta, choć miała w balii tylko porządną bieliznę. W tej samej chwili cała jej przepierka zamieniła się w stos starych szmat. Jezus wędrował dalej, aż przyszedł do chaty, gdzie inna kobieta również zajęta była praniem. – Widzę, że pierzesz bieliznę, powiedział. – A tak, zebrało się sporo odzieży do przepierki – odrzekła kobieta, która była bardzo biedna i w całym jej praniu nie było ani jednego kawałka porządnej odzieży. Lecz w momencie, kiedy odpowiedziała Jezusowi, szmaty w balii przemieniły się w nowiutką, czystą bieliznę”.

W ostatnich latach przed śmiercią Jo Haugsetvolden przysparzał Annie wiele kłopotu. Miał ciągle pogłębiającą się sklerozę i trzeba go było pilnować jak dziecka – biegał dokoła, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni. Nieraz żał było Annie patrzeć, jak ten silny, dziarski mężczyzna, który przez wiele lat był jej podporą w ciężkich chwilach, podupadał teraz, zmieniawszy się nie do poznania. Lecz całe rządy w Haugsetvolden spoczywały nadal w ręku starego Jo, jego słowo w dalszym ciągu było tutaj rozkazem, co przyczyniało Annie i Johanowi niemałych problemów na co dzień.

– Pamiętam, że pewnej zimy nie mieliśmy już ani mchu dla bydła, ani drzewa na opał, a Jo, który liczył sobie wtedy osiemdziesiąt pięć lat, zabronił Johanowi zaprzęgać konia. Zanosiło się na to, że przyjdzie nam wszystkim zemrzeć – jedynym, ratunkiem dla ludzi i dobytku było zwiezenie z gór zapasu mchu. Nie mogliśmy czekać dłużej z założonymi rękoma i pewnego dnia Johan zaczął szykować się do wyjazdu w góry.

Gdy Jo spostrzegł, co się święci, ogarnęła go wściekłość – z kopniakami i razami rzucił się na syna. Johan był oczywiście silniejszy, więc choć niechętnie, rozłożył jednak starca na obie łopatki, po czym szybko pobiegł do stajni. Jo podźwignął się z podłogi blady, z dzikim wzrokiem i pianą na ustach. Porwał wiszącą u pułapu strzelbę i skierował się ku drzwiom. Nie zastanawiając się ani chwili, zastąpiłam mu drogę, usiłując wyrwać strzelbę z jego rąk, lecz w chwili szaleństwa stary Jo okazał się silniejszy ode mnie i musiałam ustąpić. Przez moment, gdy stał przede mną i mierzył mnie obcym, lodowatym wzrokiem, myślałam, że przyszła moja ostatnia chwila. Był wtedy w stanie uczynić wszystko – lecz nagle obrócił się, chwiejnym krokiem podszedł do stołu i rąbnął pięścią tak mocno, aż pękła deska – stół ten stoi do dzisiaj tego dnia w Haugsetvolden.

Johan uwinął się szybko. Kiedy wybiegłam z izby popatrzeć za nim, był już daleko na polu, w drodze po mech. Poszłam sobie do obory, pozostawiając Jo samego w chacie, by się wyszalał. Nie trwało jednak długo, gdy drzwi obory otwały się z trzaskiem na całą szerokość. W progu stał Jo. „Teraz przyszła moja kolej”, pomyślałam, lecz on zatrzymał się tylko kilka sekund, krzycząc wściekłym, zachrypłym głosem zupełnie jak nieprzytomny: „Od dziś będziesz radzić sobie sama, nie licząc więcej na moją pomoc!”, po czym zniknął.

Wróciwszy do izby, nie zastałam Jo. Nie miałam pojęcia, co mogło temu starcowi przyjść do głowy i gdzie go poniosło. Może ruszył ze strzelbą w góry w pogoni za Johanem?

Tuż przed chatą rozpoznałam ślady Jo, wiodły z boczem w dół, do miejsca, gdzie zwykły stać jego narty zatknięte w śniegu. Nart nie było, a tylko świeży ich ślad prowadził na północ, w stronę Sømådalen.

Było już ciemno, gdy Johan przywiózł mech z gór, Jo natomiast nie wracał. Kiedy opowiedziałam Johanowi, co zaszło po jego wyjeździe, rzekł: „Musisz udać się na poszukiwanie ojca, Anno, ja nie mam odwagi

ci towarzyszyć”.

Nic na to nie odparłam. Teraz, kiedy mieliśmy już mech pod dachem, czułam się zupełnie spokojna – byliśmy zabezpieczeni na kilka najbliższych dni. Cieszyłam się na myśl, że jak tylko mech odtaje, nakarmię wreszcie wygłodniałe i wychudłe krowy.

Liczyłam się z tym, że nadchodząca noc może okazać się niebezpieczna i męcząca, lecz jak zwykle w trudnych chwilach poczułam przypływ nowych sił i odwagi. Zawsze tak ze mną bywało, więc i teraz, kiedy przypinałam narty, gotując się do nocnej wyprawy w stronę Sømådalen, nie czułam ani strachu, ani obawy. Wstąpiłam po drodze w dwa miejsca, lecz nikt nie widział tam Jo. Myślałam, że może zabłądził, kierując się na wschód od Istersjøen albo na zachód, ku górcom. W ciemności straciłam jego ślad.

Wracając do domu obrałam inną drogę, ponieważ zamierzałam jeszcze wstąpić do zagrody Nordre Sømåen. Zanim jednak weszłam do chaty, dobiegł mnie łoskot w sieniach – to zlany potem Jo, chwielejąc się, wtargnął do izby. Nadal wyglądał niebezpiecznie, złość nie opuściła go jeszcze całkiem. Gdy mnie ujrzał, odwrócił się nagle i wybiegł z powrotem z chaty.

Z lisią ostrożnością szłam jego tropem tej nocy. Starzec przepychał się przez zaspy wzdłuż Sømåa i na Isterjøen. Dziękowałam Bogu, widząc, że obrał kierunek ku Haugsetvolden. Bałam się, żeby mnie nie spostrzegł, lecz również nie śmiałam trzymać się zbyt daleko od niego, by nie stracić go z oczu. Była spokojna noc dokoła, ciszę zakłócało tylko poskrzypywanie nart, uderzenia kijków i postękiwanie zirytowanego, zasapanego Jo.

Czułam, że był coraz bardziej zmęczony, odpoczywał często wsparty na kijkach nart i gadał sam do siebie. Po tonie głosu poznałam, że był teraz spokojniejszy, zastanawiałam się też, co będzie, gdy nie zdoła iść dalej –

jak sobie poradzę z tym wielkim i ciężkim mężczyzną, gdy opuszczą go siły?

Dotarliśmy do cypla położonego na północ od Haugsetvolden, gdy Jo upadł. Kompletnie wyczerpany leżał teraz w śniegu, nie zauważył nawet, że podjechałam do niego i stanęłam obok. „Nie możesz tu leżeć, Jo”, powiedziałam stanowczo, a zarazem najspokojniej, jak tylko potrafiłam. „Idź i powiedz Johanowi, żeby przyjechał po mnie saniami”, odrzekł zduszonym i zrezygnowanym głosem. Znając go dobrze, wyczułam, że złość nie odeszła go całkiem. „Nie mogę opuścić cię teraz – odparłam – oznaczałoby to dla ciebie śmierć”.

Objęłam go, z całych sił podźwignęłam z zasy i trzymając w pół prowadziłam go tak powoli krok za krokiem w mroku nocy, aż dotarliśmy do Haugsetvolden. Jo był przemoczony i zlany potem, lecz w dalszym ciągu uparty i nie pozwalał się rozebrać. W końcu zdołaliśmy ułożyć wyczerpanego i prawie bezwładnego starca do łóżka.

Jo nie wyzdrowiał już nigdy po tej wyprawie. „Choroba starości” ogarnęła teraz również i jego ciało, postępując z dnia na dzień. Jo uburzał sobie, że kąpiel w nafcie mogłaby go uzdrowić i mimo że chowałam przed nim bańkę z naftą, pewnego wieczoru, gdy byłam w oborze, znalazł ją, wysmarował sobie brzuch i plecy i w ubraniu położył się do łóżka. Nafta spaliła mu całe płatki skóry i zatrula organizm tak, że wkrótce Jo Haugsetvolden wyzionął ducha. Można chyba bez przesady powiedzieć, że umarł, mając za sobą cały szmat życia.

Znowu nadeszła wiosna i Anna cieszyła się z tego bardzo. Po długiej zimie i męczących dniach przed śmiercią Jo czuła się bardzo wyczerpana i jedynie myśl o ciepłe i słońcu dodawała jej otuchy, godzinami siadywała teraz przy oknie, patrząc, jak nadchodzące lato zmieniało krajobraz. I było

dla niej wielkim wydarzeniem, gdy pewnego dnia pliszka zakręciła się na pieńku koło drewnutni, Anna przyjęła to jako podziękowanie za okruchy, które przez całą zimę rzucała ukradkiem dla ptaków, pozostających na pustkowiu.

Nieraz myślała ze współczuciem o Johanie. Wiedziała, jak bardzo przywiązany był do Haugsetvolden, lecz że Tyri i Jo należeli do upartych starców, nie wypuszczających władzy z rąk do końca, Johanowi przyszło objąć gospodarstwo dopiero teraz, kiedy sam był już stary.

– Często, gdy Johan tego nie widział, obchodziłam walące się zabudowania i bacznie się im przyglądałam. Niepogoda i czas nadwerężyły je znacznie, tu brakowało belki, tam drzwi wisiały krzywo i dach się załamywał. Nielekko było teraz Johanowi, który rozumiał, że za późno już, aby zabierać się do reperacji – nie miał na to ani dość sił, ani pieniędzy. Marzyło mu się jednak, żeby Haugsetvolden odnowić i zachować dla przyszłych czasów. Tak jest z nami, ludźmi, chcielibyśmy zawsze, aby to, co kochamy, przetrwało po nas. Widząc raz Johana płaczącego pod ścianą chaty, rozumiałam doskonale jego uczucia, mogłabym równie dobrze uczynić to samo, bo ja również kochałam Haugsetvolden.

Zarówno Jo, jak i Johan zwierzali się nieraz przede mną, mówili szczerze o sprawach, o których nie wspomnieliby nikomu innemu. Szkoda tylko, że we wzajemnym stosunku do siebie byli tacy nieprzejednani. Johan nie pozbył się nigdy lęku przed ojcem. „On, ojciec, bywał nieraz taki surowy i bezwzględny”, zwykł mawiać. Miał wtedy na myśli również i to, że często nie śmiał najeść się do syta. Gdy Jo nie patrzył na niego, Johan jadł szybko, ukradkiem spoglądając znad miski wzrokiem przestraszonego zwierzęcia. Ja również nie śmiałam przez wiele lat tknąć pożywienia, zanim nie upewniłam się, czy rzeczywiście było przeznaczone dla mnie;

byłam zadowolona, że mogłam zaspokoić najgorszy głód.

Wigilii Bożego Narodzenia nie obchodziło się w Haugsetvolden w specjalnie uroczysty sposób i dopiero podczas wojny ustroiłam pierwszą w moim życiu choinkę. Naszła mnie nagła ochota zrobienia czegoś niezwykłego, co byłoby miłe dla wszystkich, przypięłam więc narty i z siekierą w rękę udałam się ku Finteltrøsta, gdzie rosło sporo ładnych drzewek. Ozdoby nie były wyszukane: dwie świeceki zapomniane przez turystów, które udało mi się zachować i róże wycięte naprędce z papieru.

Wieczorem zjadaliśmy ryż na mleku – nigdy nie kupowało się nic specjalnego na tę okazję. Natomiast koń i bydło dostawały zawsze w wieczór wigilijny dodatkowo trochę owsa i odrobinę mąki. Tyri obchodziła oborę, poklepywała każde zwierzę z osobna i mówiła: „Dzisiaj Wigilia, moja poczciwa krowo”.

Jo i Johan myli się i zmieniali koszule do wieczery wigilijnej, Tyri zaś nie czyniła tego nigdy, zarówno na co dzień, jak i od święta nosiła tę samą, roboczą odzież. Każdego roku przed wieczerzą Jo siedząc u szczytu stołu przy świetle lampy naftowej odczytywał ewangelię o narodzeniu Jezusa. Podobał mi się wtedy, słowa ewangelii dodawały mu dostojeństwa, dziwnie czułam, że nie tak daleko z Haugsetvolden do Betlejem. Bez trudu mogłam wyobrazić sobie Jo jako Józefa w stajence moje dni spędzone na szałasach przypominały mi o pasterzach, a i stadko owiec mieliśmy w Haugsetvolden także.

Chwilą, na którą zawsze z upragnieniem czekałam, był moment, kiedy rozlegną się wigilijne dzwony z kościoła w Sømådalén. Było to zawsze wieczorem o piątej i wychodziliśmy wtedy na schody nasłuchując w napięciu dźwięków dolatujących od północnego zachodu. Dopiero gdy ten daleki, znajomy głos dzwonów dobiegł zza Istersjøen do naszych uszu, uczułam, że naprawdę nadeszło Boże Narodzenie. Gdy noc była gwiaździsta, Jo przerywał zawsze ciszę słowami: „Wygląda na to, że

moroszki obrodzą w przyszłym roku...”

Kiedy wszyscy wrócili już do izby, stałam jeszcze przez chwilę na schodkach i wsłuchiwałam się w dźwięk dzwonów tak długo, dopóki nie umilkł. I za każdym razem wydawało mi się, że słyszę dzwony z kaplicy w Åsmarka i z kościoła w Ringsaker. A jeśli wzrok mój odnalazł dużą gwiazdę świecącą na Bjønnberget, wyobrażałam sobie, że świeci ona również nad kościołem w mojej rodzinnej wsi.

Opowiadając o Johanie, wspomina Anna zawsze o jego prawej ręce i o wypadku, jaki zdarzył się pewnej zimy w Sømådalen.

Johan był jeszcze młodym chłopakiem, gdy przy rąbaniu zmarzniętego mchu siekiera ześliznęła się, raniąc mu głęboko rękę. Johan nie chciał słyszeć o doktorze, przy pomocy zwykłej igły i nici sam zeszył sobie ranę. „Popatrz, wszystko zrosło się, jak należy”, mawiał za każdym razem, kiedy opowiadał o wydarzeniu i wyciągał rękę z rozczapierzonymi palcami aby każdy mógł ją oglądnąć.

– Johan był nacięty i uparty, nieraz też lubił ryzykować, nie zawsze z równym szczęściem. Któregoś roku, późną jesienią przebywał koło Elvålsvollen, gdzie zajmował się połowem siei. Na jeziorze leżał czysty lód i była piękna pogoda, lecz ten dzień skończył się dla Johana bardzo smutno. Jo żył jeszcze wtedy i znajdował się tego dnia nad Orrmuttusjøen, gdzie kosił wystającą znad lodu suchą trawę, siano zaś upychał do worków i zwoził je na sankach do Haugsetvolden.

W drodze powrotnej przez Istersjøen, na wprost Vedholmu, ujrzał zbliżającego się z dużą szybkością na sankach płozowych Johana, który – nagle – znikł. Jo pojął od razu, że Johan musiał natrafić na nie

zamarzniętą powierzchnię wody i wpaść do jeziora. Jezioro było głębokie w tym miejscu, liczyła się więc każda sekunda. Nie zwlekając ani chwili podążył Jo na ratunek, widział teraz Johana rozpaczliwie wymachującego rękami i niknącego ze dwa razy pod wodą. W miarę posuwania się łód stawał się coraz cieńszy, toteż Jo zaczął czołgać się w stronę tonącego, pomagając sobie wyciągniętym z pochwy nożem. Dotarł do przerębli i zdołał pochwycić kompletnie bezwładnego Johana za kołnierz akurat w chwili, gdy ten szedł znowu pod wodę. Prawie osiemdziesięcioletni Jo okazał się jaszczke raz na tyle silny, aby uratować życie synowi.

Moment, gdy Johan stanął w drzwiach i tego jesiennego dnia, utkwił mi na zawsze, w pamięci. Twarz miał bladą jak płótno, oczy okrągłe z przerażenia i odzież przemoczoną do szczytu. Ułożyliśmy nieszczęśnika na brzuchu przed piecem; klęcząc przy nim, masowałam go na całym ciele. Dopiero gdy z ust wypłynęły mu wielkie płyty piany, odetchnęłam, z nadzieją, że uda się nam go uratować. Tego wieczora pomodliłam się szczególnie gorąco, dziękując Opatrzności, że i tym razem czuwała nad nami.

Nie był to jednak jedyny wypadek, kiedy Johan topił się w Istersjøen. Pewnej jesieni przebywaliśmy oboje koło Digernestjøenna, na wschodnim brzegu Istersjøen, kosząc turzycę, którą zamierzaliśmy zwieźć do Haugsetvolden. Ruszyliśmy właśnie z wielkim ładunkiem, gdy nagle na dużej głębi, niedaleko od brzegu, łódź zachwiała się, a Johan zniknął za burtą. Liczył wtedy prawie osiemdziesiąt lat i w dodatku nie umiał pływać. Powiedziałam sobie: „Zachowaj zimną krew, Anno, podprowadź łódź w stronę Johana”.

Na szczęście byłam sprawna w manewrowaniu łodzią, skierowałam ją szybko w miejsce, gdzie goła głowa rozpaczliwie wymachującego rękami Johana wystawała nad wodą. Podpłynęłam tak blisko, że Johan zdołał schwycić się burty, ostrożnie przesunęłam się na przód łodzi, chcąc

mu pomoc w wydostaniu się z wody. Przez moment wyglądało jednak, że łódź wywróci się, a Johan straci oparcie. Miał na sobie ciężkie buty rybackie i grubą odzież z samodziału, nie łatwo więc przychodziło mi wyciągnąć biedaka zza burty. Była chwila, że niemal straciłam nadzieję, lecz w końcu zdołałam ująć go mocno za kapotę na grzbiecie i wciągnąć do łodzi. Podziwiałam przy tym odporność Johana, który choć trząsł się z zimna, nie stracił przytomności umysłu i próbował nawet podtrzymywać rozmowę, podczas gdy ja wiosłowałam w stronę Haugsetvolden. „Szkoda tylko, że nie zobaczę już więcej futrzanej czapki”, zwykł był Johan dodawać za każdym razem, gdy opowiadał o przymusowej kąpieli przy Digernestjønnen.

W tym samym roku, pewnego dnia przed Bożym Narodzeniem, wybraliśmy się z Johanem do kościoła w Sømådalén. Szliśmy wijącym się korytem rzeki po niepewnym jeszcze lodzie, należało więc zachować ostrożność i opukiwać lód – Johan zabrał nawet w tym celu siekiere, lecz czuł się na tyle pewnie, że nie czynił z niej użytku.

A powinien był to robić. W pewnej chwili, niedaleko Storkroken, jedna noga utkwiała mu w lodzie i Johan przewrócił się na wznak. Leżał tak, bezradny, nie mogąc się prawie ruszyć.

Nie miałam przy sobie żadnych narzędzi do pomocy, nawet siekiera była w rękę Johana. Wiedziałam, że muszę działać z wielką ostrożnością, rzeka była bowiem niezwykle głęboka w tym miejscu. Mimo śmiertelnego strachu, gdyż lód trzeszczał pode mną, przyczółkałam się do Johana – wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim pokonałam tych kilka niezwykle długich metrów. Udało mi się wreszcie wyzwolić mu nogę z dziury i przyciągnąć go do brzegu. Z Johanem było jednak niedobrze, przebijając lód, zwichnął sobie nogę w kostce.

Żał mi było patrzeć na siedzącego w śniegu i trzęsącego się z zimna starca. Po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że jest już naprawdę starym, potrzebującym opieki człowiekiem. Ogarnęła mnie litość nad nim, usiadłam obok i oddałam mu swoje pończochy.

Nie było jednak mowy, aby Johan szedł do kościoła. Wiedząc, że jego kompan od połowów, Peder Tollan, był teraz w rybaczkówce koło Elvålsvollen, pokuśtykał tam i przeleżał kilka dni.

Noga dokuczała mu jeszcze przez całą zimę, lecz Johan nie skarżył się nigdy – w Haugsetvolden należało bowiem do obyczaju tłamsić w sobie każdy ból. Znałam go jednak na tyle dobrze, że nie był w stanie ukryć przede mną cierpienia. Serce ścisnęło mi się na widok tego chorego starca, szykującego się do zimowych połowów w Istersjøen. A on nie narzekał nigdy – uśmiechał się nawet z dumą, gdy nie wracał z połowu z pustymi rękami.

Nieraz potem śmieszyło mnie trochę wspomnienie przygody koło Storkroken, kiedy to Johan pożyczał ode mnie pończochy.

Jak na złość przyszło mi wkrótce doświadczyć samej czegoś podobnego. Gdy umarł Mekkel Kroka z Sømådalén, wybrałam się na pogrzeb. Szłam wzdłuż brzegu po zamrzniętym jeziorze. Trochę powyżej Elvålsvollen lód załamał się pode mną i wpadłam do wody. Cała mokra i przestraszona wydostałam się jednak na brzeg, podążając w dalszą drogę, aż dotarłam do zagrody Rønningen. W chacie zastałam tylko ośmioletniego Jøsteina, wszyscy inni udali się na pogrzeb. Nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy chłopiec zaofiarował się pożyczyć mi swoje niebieskie pończochy. Ponieważ zależało mi na tym, aby być na pogrzebie Mekkel, nie przejęłam się zbytnio kolorem, wiedziałam, że poczciwy Mekkel uśmiełby się tylko, gdyby zobaczył mnie tak wystrojoną. Przyjęłam więc zaofiarowaną pożyczkę i pośpieszyłam do kościoła. I były to prawdopodobnie najbardziej niebieskie z niebieskich

pończochy, jakie kiedykolwiek oglądano na pogrzebie.

Johan i koń stanowili parę dobranych przyjaciół, razem ciężko pracowali, zawsze też miałam wrażenie, że dobrze im było ze sobą i mogli na sobie polegać. Mieliśmy wszyscy okazję przekonać się o tym pewnej zimy, gdy Johan wracał z Røros z pełną furą towaru. W niepogodę, późno, w nocy, dotarł wreszcie do odległej o siedem kilometrów do Haugsetvolden i chaty Martina Langsjøena, przemarznięty do szpiku kości i – zeszywniały na trzydziestostopniowym mrozie. Na próżno jednak Martin Langsjøen namawiał go do przenocowania – Johan wiedział, że w Haugsetvolden czekano na jego powrót. Opowiadając o tym zdarzeniu, Martin Langsjøen tak mówi: „Zanim usadowiłem Johana z powrotem na koźle, dałem mu na rozgrzewkę wódki, a potem z daleka dolatywał mnie jego śpiew. Obaj byliśmy teraz spokojniejsi, ponieważ wiedzieliśmy, że jeśli nawet Johan zasnąłby w saniach, to koń, który tyle razy przedeptrywał tę drogę, trafi do Haugsetvolden”. I Siwek nie zawiódł. Ucieszyliśmy się w chacie wszyscy, słysząc przed progiem stąpanie konia i skrzypienie płóz tej nocy.

W ostatnich trzech latach przed śmiercią, Johan Haugsetvolden przysporzył Annie wiele niespokojnych dni i nocy. Był zupełnie nieobliczalny i trzeba go było pilnować jak dziecka.

– Pewnego zimowego, wieczora, tylko w bieliźnie i skarpetkach wyruszył w pole nie dając się zatrzymać, uszedł paręset metrów, przewrócił się i utknął w zaspie. Namęczyłam się niemało, aby go wyciągnąć z syckiego śniegu, w którym grzązał coraz bardziej. Stojąc do pasa w śniegu starałam

się go podźwignąć, lecz za każdym razem, gdy udało mi się podnieść starca na nogi, przewracał się znowu. Obawiałam się, że to już koniec, musiałam bowiem zostawić go samego, by iść po sanki. Miałam nadzieję, że zdołam ułożyć na nich Johana.

Po szarpaninie w śniegu udało mi się go przewieźć, lecz tuż przed schodami Johan oparł się raz jeszcze i za nic nie chciał wejść do chaty. Był podniecony i niespokojny, nie sposób też było przemówić mu do rozumu. Położył się pod progiem i nie chciał się stamtąd ruszyć. Nie miałam innej rady, jak tylko próbować wciągnąć go do chaty za pomocą liny. Obwiązałam go dokoła piersi i przyholowałam pomalutku do wejścia i przez próg do chaty. Wydawał się teraz spokojniejszym lecz, był wymęczony i chory.

Od tej pory przez wiele tygodni, dzień i noc czuwali przy łóżku Johana. Rozumiałam, na co się zanosi. Godzinami siadywałam przy nim i mokrym gałgankiem zwilżałam mu usta.

W nocy, gdy Johan Haugsetvolden umierał, dwudziestego siódmego sierpnia 1968 roku, wydarzyło się coś, o czym Anna nigdy nie opowiada. Mówienie o takich sprawach nie leży w jej naturze, prawdą jest jednak, że umierający Johan wyciągnął ku niej ramiona. Anna pojęła, że chciał powiedzieć jej coś szczególnego pochyliła się więc nad chorym, pilnie nasłuchując: Johan był teraz pogodny, nawet jakby szczęśliwy, gdy spokojnie, wyrzekł: „Zawsze byłeś taka dobra, o ty...”

Były to ostatnie słowa Johana, nie zdążył powiedzieć więcej, lecz i to sprawiło Annie przyjemność. Spokojnie wstała, by odmówić ojczenez nad ostatnim z rodu Haugsetvolden.

Lecz nawet i teraz nie pozostała Anna zupełnie sama, miała przy sobie Jenny – bezdomną kobietę, którą opieka społeczna przysłała

do Haugsetvolden w pierwszym roku wojny. Jenny nie była całkiem normalna, miewała też napady furii, nikt więc nie chciał zaopiekować się nią na stałe. Odsyłano nieszczęsną z miejsca na miejsce, nie pytając o jej zdanie. Anna zlitowała się nad Jenny i postanowiła przygarnąć ją do Haugsetvolden, wiedziała bowiem dobrze, co znaczy być zależnymi od innych i nie mieć własnego kąta.

– Jenny wymagała całkowitej opieki i trzeba jej było pilnować na każdym kroku. Pielęgnowałam ją przez szereg lat, choć nie płacono mi za to ani grosza. Po śmierci Tyri i Jo, zastanawialiśmy się z Johanem, co począć z Jenny, doszliśmy jednak szybko do wniosku, że powinna zostać w Haugsetvolden, dopóki będziemy przy życiu. Obojgu było nam jej: żal i uważaliśmy za swój obowiązek zapewnić opiekę i dach nad głową tej nieszczęśliwej istocie, która w pewien sposób stała się nam bliska. Humory Jenny zmieniały się gwałtownie, potrafiła nagle wpaść w gniew z niezrozumiałych dla nas przyczyn.

Pewnego razu, gdy wróciłam z obory, tylko Tyri i Jenny były w izbie. Czułam, że coś się święci, lecz nikt nie odezwał się słowem. Nagle Jenny schwyciła ciężką, wielką chochlę do czerpania wody i zamierzyła się na mnie, grożąc, że mnie uderzy. Nie panowała nad sobą, a w jej twarzy pełno było nienawiści i gniewu. Zrobiłam unik i wyskoczyłam z izby, biegnąc ku rybaczówce, w nadziei, że zastanę tam ludzi. Kiedy jednak okazało się, że wszyscy byli na jeziorze, nie widząc innego ratunku pobiegłam z powrotem ku Haugsetvolden, szukając schronienia u zwierząt w oborze. Jenny, która jak na kobietę była duża i silna, goniła cały czas za mną i wygrażała, że mnie zabije.

Równocześnie wpadłyśmy do obory, obie zadyszane i przestraszone, każda na swój sposób. Właściwie nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego

szukałam wtedy schronienia u zwierząt. Stała się jednak rzecz dziwna: w momencie, kiedy krowy obróciły ku nam łby, Jenny uspokoiła się, wypuściła chochlę z rąk i zaczęła płakać. Niebezpieczeństwo było zażegnane.

– Dopiero w latach czterdziestych postanowił Johan, że powinnam mieć w Haugsetvolden własny kąt. Rozebrał więc stojący nad brzegiem szałas rybacki i ustawił go w obejściu, koło obory, przeznaczając na mieszkanie dla mnie. Chatka była maleńka, składała się z jednej izby, w której stały dwie ławy i piec pośrodku. Ponieważ dotychczas zawsze sypiałam w izbie u innych, cieszyłam się teraz z własnego kąta. Miałam tutaj wszystko, co moje i na dodatek dużego, czarnego kota imieniem Pisi, który zamieszkał razem, ze mną. Pisi stanowił miłe towarzystwo, a wieczory, kiedy siadywałam przy ciepłym piecu z kotem na kolanach, należały chyba do najmielszych w moim życiu.

Ci, którzy odwiedzali Haugsetvolden, pokpiwali sobie trochę z tego, że mieszkam sama z kotem. Pewnego wieczoru ktoś zażartował: „Trzeba by puścić z dymem ten twój kurnik, Anno, to przecież nie jest mieszkanie dla ludzi”.

Jenny była również w izbie i słyszała, co powiedziano, lecz nie pojęła, że był to tylko żart. Nikomu z nas nie przyszło do głowy, że przywiąże ona jakąś wagę do tych słów.

Kilka dni potem zajęci byliśmy z Johanem pracą w górach na zachód od Haugsetvolden gdy nagle poczuliśmy oboje ostry swąd dymu i dobiegające wrzaski, jak nam się wydawało, Jenny. Myśleliśmy z początku, że to nic poważnego, zdarzało się bowiem czasami, że przyjezdni lubili jej podokuczać. Kiedy jednak krzyki nie ustawały, a zapach dymu stawał się coraz ostrzejszy, zbiegliśmy zaniepokojeni do miejsca, skąd widać było

Haugsetvolden.

Stąd roztoczył się przed nami smutny widok, języki płomieni i czarny, gęsty dym unosiły się nad kalenicami dachów. „Pali się moja chata”, powiedziała do Johana.

I od razu pomyślałam sobie o Pisi, który był przecież żywym stworzeniem. Zanim jednak dobiegliśmy do Haugsetvolden, spłonęła i moja chata, i kot. Straciłam również wszystko, co posiadałam, w tym najcenniejsze dwa zegary i maszynę do szycia. Lecz to właśnie Jenny najbardziej potrzebowała teraz pociechy. Oszołomiona, z opalonymi, od płomieni włosami, dreptała wokół mnie i rozpacziała nad tym, co uczyniła. Jenny wyniosła z drewnitni wióry, oblała naftą i znalazłszy zapalki, podpaliła, nie myśląc, że wywoła katastrofę. Wykonała, tylko to, co ktoś podsunął jej na myśl parę dni temu.

Do najprzyjemniejszych chwil w Haugsetvolden zaliczała Anna pogodne dni koło przystani przy brzegu jeziora, spędzone na rozwieszaniu sieci lub oczyszczaniu ryb z nocnego połowu. Lubiła wtedy wsłuchiwać się w odgłos fali leniwie uderzającej o burtę wyciągniętej na brzeg łodzi i o przybrzeżne głązy. Torfowy dach i spalone słońcem brunatne belki schowka na łódź pachniały przyjemnie, świeża ryba miała również dobrą, znajomą woń, a przylatujący od Istersjøen rzeński wietrzyk łagodnie chłodził twarz.

W taki właśnie sierpniowy dzień w 1969 roku Anna z Jenny stały na przystani i patroszyły ryby. Obie były w dobrym humorze, choć Anna niepokoiła się trochę tego dnia, Jenny przeszła ostatnio kilka ciężkich ataków serca i popłakiwała często. Myśl o śmierci nawiedzała ją nieraz, mówiła o Johanie i prosiła aby – gdy umrze – pochowano ją obok niego na cmentarzu w Sømådalén.

– Gdy wróciłyśmy znad brzegu pod górę do Haugsetvolden, Jenny znów dostała ataku i nie mogąc prawie oddychać, opadła bezwładnie na krzesło. Ułożyłam ją w łóżku, wtedy uspokoiła się trochę i usnęła. Po niedługim jednak czasie wstała sama i wyszła z izby. Nie przywiązywałam do tego większej wagi, podobne ataki miewała bowiem już nie raz przedtem.

Nagle po chwili usłyszałam łomot. Wybiegłam i zobaczyłam Jenny leżącą na strychu starej chaty, dokąd wdrapała się po drabinie. Widziałam, że było z nią źle, lecz sama nie dałabym rady sprowadzić ją na dół. Pobiegam więc co tchu do rybaczówki nad brzegiem, gdzie na szczęście zastałam ludzi, którzy pomogli mi znieść Jenny ze strychu.

Oddychała jeszcze, lecz była całkiem bezwładna i przelewała mi się przez ręce. Ujawszy jej głowę w ramiona, ułożyłam się obok, na ziemi. Leżałyśmy tak ze dwie godziny pod gołym niebem, gdy zdałam sobie sprawę, że od tej pory będę w Haugsetvolden zupełnie sama. Nie opuściłam Jenny, zanim modlitwa nad jej ciałem nie została odmówiona – należało jej się takie samo pożegnanie, jak innym w Haugsetvolden. Czułam teraz również w głębi duszy, że to właśnie Jenny najbliższa była memu sercu, bo właśnie ona potrzebowała mnie najbardziej.

Anna mieszka w dalszym ciągu[3] w Haugsetvolden, i nie potrafiłaby wyobrazić sobie nawet jednego dnia bez tego, do czego tutaj przywykła, skromnych sprzętów w izbie i bezmiaru przyrody otaczającej Haugsetvolden. Wszystko jest jej tu bliskie, własne. Wieś rodzinna pozostała również żywo w jej pamięci. Wreszcie dwa lata temu wybrała się, by odwiedzić swoje strony w prowincji Hedmark.

[3] Anna umarła w 1975 r. (przyp. redakcji).

– Nie zaznałabym spokoju dopóki nie przekonałabym się, jak mnie przyjmą w mojej wsi. Wyruszając na wędrowkę z Długim Karolem odwróciłam się od nich, ludzie mówią teraz, że schowałam się gdzieś na pustkowiu. Niech sobie mówią, dla mnie najważniejsze jest, że pozostałam w Haugsetvolden z własnej woli, bo czułam, że potrzebowano mnie tutaj. Nie uważam, że bym przez to przyniosła ujmę rodzinnej wsi, o której przecież nigdy nie zapomniałam. A może znajdę w Ringsaker drzwi, które staną przede mną otworem? Nie miałam zbyt wielkich nadziei, chciałam tylko przekonać się, jak będzie.

Od momentu, gdy Anna opuściła Ringsaker u boku Długiego Karola, do chwili jej powrotu teraz, kiedy chciała odnaleźć kraj dzieciństwa, minęło czterdzieści dziewięć lat. Prawie wszystko wydało się jej nie znane i dziwne, a nowa droga przez wieś utrudniała orientację. Tylko kwiaty bujnie rosnące w przydrożnym rowie, wzdłuż drewnianych płotów i na polach były takie same jak dawniej. Przywykłszy do skąpej roślinności na pustkowiu zadumała się Anna teraz nad tym, jak żyzna musiała być ziemia Hedmarku, która na każdym kroku tak hojnie szafowała kwieciami.

Za jednym rozglądała się Anna szczególnie tego dnia: czy uda jej się odnaleźć i rozpoznać dróżkę wiodącą na szałas do Lorty? Miała żywo w pamięci tę wąską ścieżynę pnącą się zakosami w górę leśnym zboczem. I nagle chwila olśnienia – oto jest znajoma, leśna droga do Lorty! Ledwie widoczna, lecz prawie nie zmieniona, taka sama, jak w czasach dzieciństwa, gdy wydeptywała ją Anna często, podążając za matką na halę. Nawet płaski kamień, na którym lubiła zawsze stawiać stopę, leżał tu jak dawniej. Dopiero od tej chwili poczuła Anna, że naprawdę jest z powrotem w rodzinnej wsi. A potem, kiedy niejedne drzwi otwarły się gościnnie przed nią i gdy spotkała wielu przyjaznych sobie ludzi, mogła

nareszcie stwierdzić, że zamknął się pęknięty krąg i wszystko zostało naprawione. Wracała teraz do Haugsetvolden zadowolona i z lekkim sercem.

Od tej pory cieszy się Anna każdym dniem, jaki jej jeszcze pozostał, wdzięczna tym wszystkim, którzy stanęli po jej stronie i poparli w życzeniu pozostania w Haugsetvolden do końca.

– Haugsetvolden stało się dla mnie domem, o jakim marzyłam przez całe życie. Tutaj włożyłam wszystkie moje siły i znalazłam wreszcie poczucie bezpieczeństwa, którego brakowało mi przez tyle lat. Niektórym wydaje się, że musi mi być smutno i nudno żyć samotnie w odludnym Haugsetvolden. To nieprawda.

Mam dużo wspomnień związanych z każdym, miejscem, ciągle widzę przed sobą tych, z którymi opędziłam tu dramat życia i wydaje mi się, że w pewien sposób są tutaj nadal ze mną.

Wszystko co złe, minęło, a to, co dobre, jaśniej wyraźniej w pamięci, jak pogodny dzień nad Istersjøen.

Nieraz wracam myślami do tego dnia około pięćdziesięciu lat temu, kiedy leżąc przygnębiona i wyczerpana w trawie za starym spichlerzem, nie wiedziałam, o co począć dalej. Głos, który wtedy posłyszałam, wskazał mi jedyną słuszną drogę – pozostać w Haugsetvolden, bo tu było mi przeznaczone żyć i pracować.

Ani przez chwilę nie wątpiłam, skąd przyszły te słowa i wdzięczna jestem Bogu, że dał mi dość sił, bym mogła sprostać zadaniom.

Dzięki Jego łasce i pracy własnych rąk osiągnęłam szczęście w życiu.